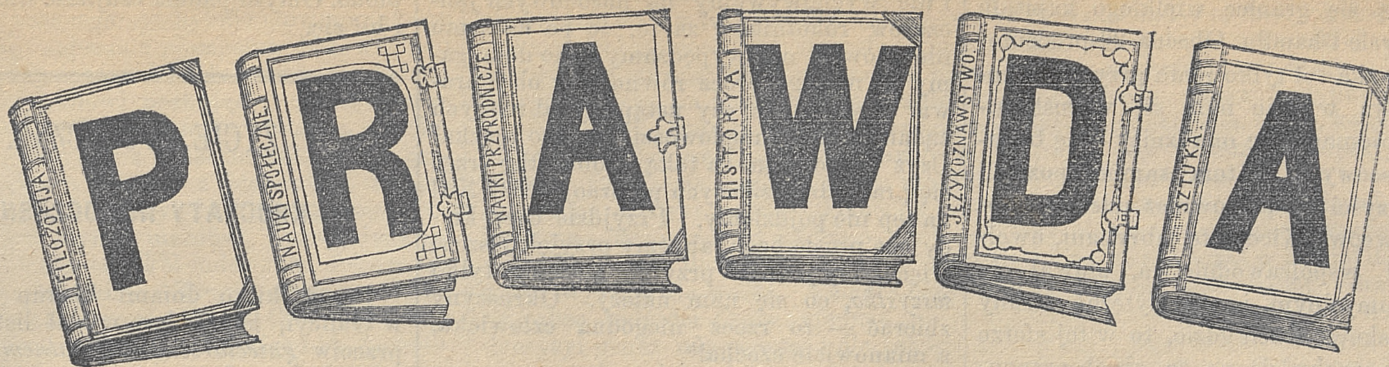
Nr. 37. Warszawa, dnia 13 (1) Września 1890 r. Rok X.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szanownych abonentów kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty. Odpowiadając przytem na liczne zapytania, donosimy, że obie zapowiedziane przez nas książki: **Encyklopedya dla dzieci** (ilustrowana) i **Psychologia dziecka** znajdują się w druku i wkrótce wyjdą.

POLITYKA.

PODWYŻKA CEŁ.

Rosya w swej polityce celnej postąpiła o krok naprzód w kierunku ochrony i produkcyi przemysłu miejscowego. Od 31 sierpnia podwyższona została o 20% taryfa ceł dla wszystkich przedmiotów, sprowadzanych z zagranicy. Podwyżka ta dla niektórych produktów (węgiel, koks, torf), nadpływających do przystani morza Czarnego i Azowskiego, wynosi nawet 40%; wyłączone zaś z niej są: węgiel, koks i torf, przybywające przez granicę zachodnią i porty bałtyckie, dalej kawa, kakao, korzenie do przypraw, herbata, cukier i inne płody obce. Podniesiona taryfa obowiązywać będzie do 1 lipca 1891 r., gdyż do tego czasu ma być zrewidowany i ponownie opracowany cały system celny w państwie. Kamieniem węgielnym zapowiedzianej i przez kupiectwo oczekiwanej reformy jest właśnie obecna podwyżka. Minister Wyszniegradzki usprawiedliwia ją znaczną poprawą kursu rubla, która powiększyła przywóz, a zmniejszyła wywóz. Przywóz Rosyi europejskiej, który jeszcze w r. 1879 (bez szlachetnych kruszców) wynosił 546 milionów rubli, pod wpływem protekcyonizmu w ciągu następnych lat 10 spadł do 332 milionów. Głównymi jego dostarczycielami są Niemcy w sumie 122,624,000 rs., później Anglia—101,223,000 rs., Austrya — 14,878,000 rs., Francya — 13,964,000 rs. itd. W tym też porządku nowa taryfa dotknie wspomniane kraje. Najnieprzyjemniejszą nowiną jest ona dla Niemiec, nietylko z powodu największego ich uczestnictwa w wywozie towarów do Rosyi, ale także z powodu chwili, w której została ogłoszoną, kiedy podwyższenia myta celnego od strony wschodniej wcale tam nie oczekiwano, przeciwnie, spodziewano się raczej jego zniżki.

Podróżujący po Rosyi minister skarbu, twórca tej zmiany, był wszędzie, a zwłaszcza w Niżnim Nowgorodzie (podczas jarmarku), przedmiotem nadzwyczajnych owacyj i zbierał od kupców i przemysłowców słowa najwyższej wdzięczności. Również prasa ruska wyraża dość zgodnie swoje zadowolenie lub uznaje konieczność faktu. Według *Mosk. Wiedomosti*, był on nieuniknionym środkiem obrony ekonomicznej. „Podwyższanie się ciągłe kursu rubla powodowało jednoczesną obniżkę ceł; chociaż bowiem pozostały te same, jednakże przy zamianie rubli papierowych na złoto nie mogły już stanowić przeciwwagi w różnicy cen towarów zagranicznych i krajowych. A im wyżej podnosił się kurs, tem dotkliwsze wyrządzał szkody przemysłowi miejscowemu. Podwyżka o 20% przywraca naruszoną równowagę.“

Zdaniem *Birż. Wiedomosti*, cyfra przywozu zagranicznego wzrastała od kilku miesięcy w sposób bardzo groźny. Wynosiła ona bowiem w lutym r. b. $21\frac{3}{4}$ miliona rubli, w marcu $24\frac{3}{4}$, w kwietniu 30, w maju $40\frac{1}{3}$, a w następnych miesiącach sięgało jeszcze wyżej. Skutkiem tego do ministeryum zaczęły zewsząd napływać skargi przemysłowców, wołających o ratunek. Ponieważ zaś komisya, wyznaczona do przejrzenia taryfy, posuwała swe prace zbyt wolno, więc okazała się potrzeba środka tymczasowego. „Bądź co bądź — dodają *Birż. Wiedomosti* — chociażby towary zagraniczne nie staniały u nas, do skarbu państwa zacznie wpływać więcej opłat celnych, co znowu wywoła dalszą poprawę waluty, a skutkiem tego nową podwyżkę ceł— i tak dalej.“ Najważniejszym punktem powyższego wywodu jest owo „i tak dalej.“

Swiet, niepewny co do skutków reformy, radzi dać głos praktyce. „Jest rzeczą ważną — powiada on — aby kupcy ruscy i wszyscy ludzie kompetentni, zainteresowani tą sprawą, wypowiedzieli już teraz swoje zdanie o słabych stronach istniejącej obecnie taryfy celnej.“ Ludzie „kompetentni“ w tej sprawie należą do dwu kategoryj: jedni myślą o dobru powszechnem, drudzy o interesie własnym, ich więc zdanie musi być koniecznie rozszczepionem w dwu tych kierunkach.

Inaczej zapatruje się warszawska *Gazeta losowań*. Wprawdzie cła stanowią wszędzie dźwignię wytwórczości wewnętrznej, w Rosyi wszakże nie są one wystarczające dla wyrugowania konkurencyi zagranicznej. Uległa ona dopiero wobec niskiej waluty rublowej, która była jedyną przyczyną rozrostu fabrykacyi, a raczej milionowych fortun szczupłej liczby przedsiębiorców kosztem ogółu. Ponieważ także błędy muszą mieć swoją logikę, przeto konsekwencya systemu opiekuńczego wymaga dalszego brnięcia po tem błocie pod karą opuszczenia sztandaru. Rubel ma jeszcze dość długą drogę do przebycia, zanim stanie na poziomie równości z walutą zagraniczną, każdy zaś jego krok naprzód odbije się uderzeniem w interesy przemysłu wielkiego, który znowu zażąda pomocy i opieki. Jest to — jak widzimy — „i tak dalej“ *Birż. Wiedomosti*, a raczej błędne koło, z którego zapomocą samej taryfy celnej ani wyjść, ani wyskoczyć niepodobna. „Dopóki Rosya — podobnie jak Austrya — znajdować się będzie ze swą chwiejną walutą w stanie wyjątkowym — przyznaje jedna z gazet niemieckich — dopóty musi w swoim systemie celnym stosować środki wyjątkowe.“ Ale nie należy się łudzić, że środki te są lekiem trwałym i ostatecznie rozstrzygają niezmiernie powikłaną sprawę interesów państwowych i prywatnych. Muszą one kiedyś ustąpić miejsca podstawie mniej ruchomej i zmiennej, a nadewszystko takiej gospodarce ekonomicznej,

którąby szerzej rozpostarła swą dbałość, niż rozciągają się granice wielkiego kapitału w przemyśle i handlu. Obecna 20-procentowa podwyżka cel tylko jemu przyniesie korzyść, gdyż wydaje nam się wprost naiwnem mniemanie, że ona zniży cenę towarów miejscowych, a tem samem pozwoli w tej korzyści wziąć również udział ogółowi spożywców. Kiedyż to fabrykant, uwolniony od współzawodnictwa, stawał się wspaniałomyślnym i nie wytężał struny swych zysków? Jeżeli gdzie, to w tej sferze nie trzeba wychodzić po za obręb przypuszczeń i wiary w egoizm. Jest to najpewniejsza metoda ustrzeżenia się omyłek.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Za wiele wody wylało się z rzek i za wiele dokonała ona zniszczenia, ażeby nie wpływała do dziedziny politycznej. Bo ostatecznie rządy muszą myśleć o złagodzeniu klęski i ratowaniu biedaków, którym powódź wszystko zabrała. Zwłaszcza kłopot ten dotyka Austryę. Cesarz ofiarował na ten cel znaczną zapomogę, za nim poszli również z wysokiemi ofiarami bogacze, Hirsch, Rotschild i inni, wezwano ogół do składek publicznych — słowem rozpoczęła się działalność miłosierdzia, której rząd musi przewodniczyć, ażeby go kiedyś nie spotkały wyrzuty za obojętność.

Klęski przerwały na chwilę walkę Młodoczechów ze Starymi i uciszyły tryumfalno-zaczepny okrzyk pierwszych. Ich przywódca dr. E. Gregr, na sejmiku w Chociniu wygłosił mowę programową, z której *Gazeta polska* podaje ciekawe wyjątki. Według niego żądać trzeba: wskrzeszenia królestwa czeskiego, jako jednostki politycznie samodzielnej, a zatem przywrócenia również mocy wszystkim państwowym prawom czeskim; zupełnego równouprawnienia dwu narodowości, zamieszkujących to królestwo; wreszcie stwierdzenia i uświęcenia tego wszystkiego przez uroczystą koronacyę cesarza na króla Czech. Zastanawiając się nad układem wiedeńskim, mówca rzekł:

„My pragniemy także zgody, ale takiej, którąby poprzedziła ugoda narodu z monarchą, takiej, któraby wprowadzała istotne równouprawnienie. Do hegemonii nie zdążamy, dzieci sąsiadowi nie wykradamy i nie wychowywamy na narodowych janczarów robotników za to, że po naszemu nie mówią; nie wypędzamy i nie domagamy się niczego prócz równości w obec prawa. Pytają nas, czy ustąpimy od naszych żądań co do urzędowości naszego języka? Czyż wolno nam za taką drobnostkę zrzec się praw dziedzicznych po praojcach? Nie! na lep nie pójdziemy. Przyjdzie czas, kiedy nas prosić będą, abyśmy przyjęli jeszcze więcej, my jednak przyjąć możemy tylko *wszystko*, co się nam należy. Okruszyny zbierać — to rzecz niegodna człowieka, a mianowicie czecha!“

Gregr nie wątpi, że postawione przez niego warunki zgody będą kiedyś spełnione. „Kto wytrwale kołacze — powiada on — temu otworzą. My zaś kołatać będziemy, choćbyśmy mieli okno rozbić.“

Obecny na wiecu komisarz rządowy miał podczas tej mowy kilkakrotnie sposobność przypominania o swej obecności i grożenia przecięciem obrad. Uczynił to zwłaszcza, gdy Gregr śród oklasków zawołał: „Nas, którzy wszędzie i zawsze przelewaliśmy krew za wielką dynastyę, chcą wydalić z kraju naszego, uczynić z ojczyzny naszej lenność króla pruskiego; ale my jeszcze żyjemy, a dopóki ostatnia kropla krwi czeskiej nie zastygła, król czeski pruskim wasalem nie będzie.“

Po zdradzie tajemnic bulanżyzmu w *Figarze* przez niejakiego Mermeixa, „pięknemu generałowi“ wymierzają już ostatnie ciosy nawet jego sojusznicy i przyjaciele. Hrabia Paryża przyznał, że pozostawał z nim w związku kieszeniowym i został sromotnie oszukany, księżna Uzes nazwała go kpem i tchórzem, który wyssał z niej pieniądze itd. Po tej chłoście i z pod tych kamieni chyba operetkowy bohater nigdy się nie dźwignie, zwłaszcza że już dziś jest — jak twierdzi księżna — „tłusty i stary.“ We Francyi wolniej grzyby wyrastają po deszczu, niż pojedynki po każdem otwarciu „kulis“ politycznych. Więc też odkrycia Mermeixa wywołały szereg starć honorowych i niehonorowych, gdyż czynne w nich były nietylko szpady, ale i ręce. Jedni się wypoliczkowali, inni pokłuli, inni zamienili kule — jak zwykle w takich wypadkach. Rochefort, który znowu podrapał swego przeciwnika na obcym gruncie, opisał całą wyprawę pojedynkową w swym dzienniku, wplótłszy w ten opis bezczelną dla siebie reklamę. Jak zapewnia bowiem, cała Holandya i Belgia śledziły jego kroki, żandarmi i reporterzy gonili go jak ogary, nigdzie nie mógł kroku zrobić, żeby nie był poznanym, nigdzie ukryć się, żeby go nie wytropiono. Omylił jednak czujność wszystkich— i bił się.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRUCYATY NOWOCZESNE.

Przed kilku dniami biskup tarnowski w Galicyi, ks. Łobos wydał list pasterski przeciw *gazeciarstwu liberalnemu*. Odtąd więc księża dyecezyi tarnowskiej są obowiązani występować zawsze i wszędzie przeciwko czasopismom kierunku mniej lub więcej wolnomyślnego, a przytem rozsiewać o nich i o publicystach, biorących udział w tego rodzaju wydawnictwach potwarze nieuzasadnione i niegodne. Klątwę bowiem, rzucaną z ambony, należy poprzeć dowodami, a ponieważ ich niema, okaże się potrzeba kucia odpowiednich oszczerstw. Równocześnie zaś proboszczowie otrzymali rozkaz, aby tym z owieczek, które wbrew wszelkim nawoływaniom łaknęłyby „drukowanego,“ polecać prenumeratę pism zachowawczych, klerykalno-feudalnych. Te dwa potoki spływają tam w jedno, wspólne łożysko.

Mniej więcej w tym samym czasie nadbiegło z Koblencyi echo podobnej treści. Radzili tam mianowicie katolicy niemieccy nad środkami wzmocnienia swej wiary w Europie i w ojczyźnie. Wśród różnorakich recept pokaźne i poczesne miejsce przeznaczono eks-komunice, rzuconej na dziennikarstwo liberalne. Jeden mówca po drugim głosił konieczność toczenia z niem walki zażartej, konieczność tępienia owych gazet bez litości wszelkimi możliwymi sposobami, a choćby nawet takimi, jakimi ongi duńczycy oczyszczali swe królestwo z wilków.

Mimowoli zatem rodzi się pytanie, czy między obu faktami nie istnieje pokrewieństwo? Otóż każdy znający ogromny wpływ centrum niemieckiego na poznańczyków, którzy znowu zaszczepili zarazek ultramontański w Galicyi, stwierdzi bezwłocznie w wypadku niniejszym pewnego rodzaju zarazę moralną. Skutki owej choroby wystąpiły zresztą na jaw już w roku przeszłym, kiedy to galicyanie, a raczej stańczycy na czele kilkuset obałamuconych ludzi podążyli do Wiednia na zjazd katolików austryackich, przeważnie niemców. Czarna międzynarodówka zdołała wówczas zatrzeć

SEKRETARKA.

(z Revue Bleue).

(Dokończenie).

Jakkolwiek wzniosły i szlachetny charakter cienia nawet pospolitej zazdrości uczuwać jej nie dozwalał, wszakże od porównania tych dwu położeń trudno się było powstrzymać. Taki przepych z jednej, a tak całkowite ogołocenie z drugiej strony! Całe to moralne i materyalne bogactwo, które nieustannie przesuwało się jej przed oczami, okrutniejsze na nią sprawiało wrażenie, niż prosty opis oddać może. Uczestniczyła niejako w tym przepychu, wszystkie jego szczegóły i subtelności rozumiejąc doskonale, gdy zaś codziennie dom ten opuszczała, nie unosiła zeń ani jednego serdecznego słówka, któreby serce jej wzmocnić mogło, ani jednej wiązki drewek, któraby jej samotność rozgrzała i oświetliła.

Nie w tem zresztą tkiła moc jej cierpienia. Zbytkowna strona życia mało ją obchodziła. Pożądała nie klejnotów, lecz czułego uśmiechu, marzyła daleko częściej o białych bukietach do niej wyłącznie należących, aniżeli o naszyjnikach i brasoletach.

O tem uczuciu, które się stawia na pierwszem miejscu w sercu czyjemś, o tej opiekuńczej sile mężkiej, bezustannie troszczącej się o ciebie, o tem zaciszu domowem, w którem się ciągle sam na sam przebywa i gdzie w każdym najdrobniejszym szczególe ten słodki wyraz „my“ się powtarza— o tem to bezustannie marzyła Klara... Zdawało się jej, że utonąć wzrokiem w twarzy ukochanej jest najszczytniejszym wyrazem uwielbienia i cichutko niekiedy stawiając się w podobnem położeniu, pragnęła tylko dwie te czynności wypełniać: modlić się i wpatrywać w twarz ukochanego męża. Myśl, że jedynie kwestya pieniężna rozdzielała ją z tem szczęściem, do żalu jej dodawała goryczy i ogarniało ją oburzenie wobec przekonania, że w jedynej tylko dziedzinie uczuć, któraby uszczęśliwić ją mogła, w której na zawsze musiała pozostać pozbawioną, najpospoliciej o wszystkiem stanowił majątek. Nie łudziła się wcale przypuszczeniem, ażeby silną namiętność obudzić w kimś mogła; wiedziała bowiem, iż ten gwałtowny objaw miłości porównywany bywa do uderzenia piorunu tylko dla cech im wspólnych i że tak niewielu uśmierca europejczyków, jak elektryczność. Wiedziała też, że jeśli kobieta zdecydowaną bywała niekiedy mężnie stawiać czoło niedostatkom i niepowodzeniom bytu skromnego, mężczyzna, dla którego właśnie do tych ofiar skłonną by się czuła, unicestwiał je w samym ich zaczątku, nie żądając ich wcale. Tak dalece rozum panował nad nimi wszechwładnie, nawet gdy się znajdowali pod wpływem uczucia.

Z innej znów strony widziała nieraz, jak pod wpływem kwestyi pieniężnej gwałtownie wybuchała u mężczyzny namiętność tam, gdzie ją nawet trudno było przypuścić uprzednio, gdy jeszcze sprzyjające warunki gruntownie rozpatrzone nie zostały, i zdawało się jej, że raj ziemski jest po prostu hesperyjskim ogrodem — ponieważ złote w nim wyrastają jabłka. Ona więc niegodną była przekroczyć bram jego, odkąd lubianego tam owocu w dłoni swej nie miała.

* *
*

Pewnego poranku, gdy już odchodzić miała, zatrzymała ją Małgorzata.

— Codziennie kreśliłaś pani portret mego narzeczonego, a jeszcześ go ani razu nie widziała. Zaczekaj tu z dziesięć minut...

w piersiach przybyszów poczucie plemienne, a zarazem świadomość niebezpieczeństwa, grożącego niechybnie słowianom przy każdym sojuszu z niemcami, bez względu na to, czy prowadzi ich pastor czy ksiądz ku Watykanowi oczkujący. Dalej zaraza owa wystąpiła ponownie w chwili, gdy biskupi galicyjscy z widoczną szkodą dla kraju podpisali łącznie z biskupami dzielnic niemieckich Austryi, i to na żądanie tych ostatnich, słynny manifest, domagający się uduchownienia szkół ludowych, dotychczas jeszcze świeckich. Trzeci wreszcie objaw zarazy takiej grozi obecnie Galicyi właśnie pod postacią listu pasterskiego ks. Łobosa. Dziwić się przecież trzeba, że ultramontanie galicyjscy i niegalicyjscy tak wrzaskliwie urządzają ową krucyatę nowoczesną bez względu na odmienne warunki, materyalne i umysłowe, w jakich Galicya, a Niemcy pozostają, bez względu również na zasadniczą przepaść, dzielącą liberalizm dzienników pierwszej i drugich. Niemcy są organizmem społecznym silnym, zamożnym, całkowitym, wytrzymałym nietylko na ciosy zewnętrzne, lecz również zdolnym do znoszenia burz wewnętrznych, do samoodradzania się, do szybkiego zastępowania tkanek zniszczonych świeżemi, a zdrowemi. Galicya, przeciwnie, przypomina drzewko okaleczałe, nadłamane, na nieurodzajnej, suchej ziemi rosnące. Wszelkie uszkodzenie umyślne grozi roślinie takiej niebezpieczeństwem znacznem; lada szarpnięcie, lada brak soków, a wnet nastąpi powolne konanie. Nadto liberalizm posiada w dziennikarstwie tamtejszem przedstawicieli i nielicznych i nader umiarkowanych. Na ośm gazet codziennych dwie zaledwie noszą demokratyczne raczej, aniżeli liberalne barwy; trzy należą do obozu klerykalno-feudalnego, a pozostałe skazały się na niekiedy wygodną kastracyę, zwaną modnie oportunizmem. Demokraci galicyjscy nigdy nie rzucali kościołowi rękawicy; czasami tylko występują przeciwko magnackim uroszczeniom dostojników duchownych, przeciwko międzynarodowej propagandzie jezuickiej, ogłupiającej masy, przeciwko oddawaniu wreszcie klasztorów w posiadanie obserwantów-włochów i niemców, którzy ich majątki niszczą na szkodę kraju.

To też jesteśmy pewni, że zupełnie inne, a nie religijne powody skłoniły księdza biskupa do ogłoszenia częścią szkodliwej, częścią śmiesznej krucyaty. Naprzód chciano z jej pomocą polepszyć zachwiany byt *Czasu* i *Przeglądu* we Lwowie pod redakcyą p. Masłowskiego. Wydawcy tych dzienników liczą na odpadnięcie od gazet liberalnych wszystkich prenumeratorów trwożliwych i połowicznych. Po drugie (tu już ujawnia się wpływ jezuicki) nominacya arcybiskupa gnieźnieńskiego wywoła w prasie galicyjskiej, zwanej liberalną, szereg uwag, których skutku na masy ultramontanie boją się bardzo. Stąd to zabiegi o przecięcie związku między zwolennikami prawdy a ogółem. Po trzecie nakoniec rok przyszły przyniesie Austryi ogólne wybory do Rady państwa. Stronnictwo, którego prasa posiada liczniejszą ilość czytelników, z śmiałą miną wystąpi do walki. Pasterz tarnowski chce tedy dla *Czasu* zjednać w swej dyecyzyi grunt odpowiedni i dla takiego to celu poświęca dobro kraju, gdyż niszczy dopiero w zawiązku będące dziennikarstwo i lekkomyślnie rzuca cień posądzeń niesłusznych na imię ludzi, którzy pracują piórem, słowem umysłowości społeczeństwa galicyjskiego ciężką zadaje szczerbę. A, gdybyż to jeszcze miało się skończyć na dyecezyi tarnowskiej! Bynajmniej. Za tydzień, za dwa usłyszymy znowu o podobnym liście innego biskupa galicyjskiego; za miesiąc pójdzie ich śladami trzeci, i tak dalej, aż wreszcie wszyscy staną w bratniem kole, jedną skojarzeni myślą. Przewidywania nasze zresztą nie opierają się na kruchej podstawie; już od lat kilkunastu bowiem księża krakowscy urzędownie i nieurzędownie podburzali i podburzają mieszkańców przeciw każdemu dziennikowi, który stawał do walki z *Czasem*.

Adam Nowicki.

LISTY PETERSBURSKIE.

27 sierpnia.

Manewry się ukończyły. Wskutek niezdrowia nie mogłem pojechać do Narwy i musiałem oczekiwać jednego ze znajomych, aby mi opisał cały przebieg owej wojny. Okazało się, że nie zrozumieliśmy się; co dla mnie było najbardziej ciekawem i pożądanem, na niego nie uczyniło żadnego wrażenia, więc nie zauważył. Natomiast opisał mi rzeczy jaskrawe i silne: np. wybuchy min, eksplozye mostów, przeprawy wpław przez rzekę piechoty i konnicy.

— Ależ, mój panie, że mosty rozsypały się w drzazgi, nic dziwnego; siła prochu, dynamitu wiadomą jest.

W każdym razie manewry udały się wyśmienicie. Projekt był taki: Nieprzyjaciel przybył morzem, wysadził wojska, przeważnie piechotę i ruszył w głąb kraju. Wojska lądowe, których ilość była mniejsza, korzystając z wszelkiej dogodnej pozycyi, zagrodziły mu drogę. Każda rzeka, miasteczko, parów fortyfikują się i bronią. Mosty na rzekach, drogi, koleje — jak zwykle — aby utrudnić nieprzyjacielowi pochód, niszczą się.

Manewry tem się różnią od zwykłej wojny, że się zwraca przedewszystkiem uwagę na liczbę żołnierza w każdej danej potyczce, a ponieważ napastujący odrazu przeważał ilością, chodziło o to, czy wszelkie ruchy mas — napastnicze i obrończe — będą zgodne z taktyką; z tego to poglądu manewrom nic nie mamy do zarzucenia. Juści w prawdziwej wojnie częstokroć nie liczba rostrzyga losy boju: broniący się, korzystając z pozycyi, może na każdym kroku równoważyć siły sztuką (fortyfikacyą).

Z tego, co mi opisał naoczny świadek, przyszedłem do wniosku, że gdy wojska, broniące przystępu do kraju zniszczyły na rzece mosty, gdy oszańcowały się na swym brzegu, nie łatwo ustąpiłyby nawet przed dwakroć liczniejszym wrogiem. Juści historya wojenna uczy, że o ile przeprawa przez góry jest trudną, o tyle przez rzeki łatwą i to jest rzeczą naturalną: góry mają dwa—trzy przejścia, które można uporczywie bronić; rzeka zaś posiada setki przepraw i ten, kto zamierza przedostać się na brzeg przeciwległy, zaczyna próby w dwu, trzech miejscach — a gdy zajmie uwagę broniących, może przejść tam, gdzie się najmniej spodziewano. Czy ów manewr został i pod Narwą wykonany, sprawozdawca nie umie powiedzieć. Nie więcej zauważyli i korespondenci dzienników stołecznych. Nikt też z nich nie zechciał przyłączyć się do jakiegoś pułku, podzielić trudy pochodu; zauważyłby bezwątpienia, że żołnierze nader niechętnie ustępują z pozycyi i ochoczo idą naprzód. Mógłby też zebrać sporo i pojedyńczych epizodów, które częstokroć charakteryzują armię lepiej, niż ruchy taktyczne. Taktyka wszędzie jest jednakową, duch zaś armii stanowi jego odrębność.

Pewien stary pułkownik opowiadając mi o rozmaitych wypadkach wojny sewastopolskiej — rzekł:

— A czy wiecie, że znaczną część swej sławy zmarły generał Totleben może zawdzięczać podoficerowi.

— Jakto?

— Skoro się zaczęła wojna min, gdy francuzi chcieli skrycie podkopać się pod nasze wały i wysadzić je w powietrze, a nasi, aby unicestwić ów zamiar, ruszyli przeciwko

---

Pozostawię podniesioną nieco portyerę... zobaczysz go wchodzącego...

Nie chciano go jej nawet przedstawić. Klara przyczynę tego zrozumiała i spoglądając na listy, rozrzucone po biurku, uśmiechnęła się ironicznie. Wahająca się, niezadowolona, ciekawością wszakże zdjęta, w miejscu zatrzymana, stała tak chwilę, gdy nagle ręka usłużnego lokaja otworzyła i zamknęła drzwi wielkiego salonu, do którego wszedł szczupły i wytworny młodzieniec.

Oczami przebiegając salon i po raz pierwszy nie znajdując w nim ojca narzeczonej:

— Sama! — przemówił tonem zachwytu i w tejże chwili z szybkością pragnącego korzystać ze sposobności, obie rączki narzeczonej ujął, pocałunkami je osypał, gdy tymczasem młoda dziewczyna pełnym przerażenia gestem otwarte drwi wskazywała.

— Ojciec tam? — zapytał szeptem.

A gdy ona przecząco wstrząsnęła głową, po wiele i wiele razy ten objaw uczuć swych powtórzył.

Baron zbyt młodym był jeszcze, jakkolwiek zrujnowanym dostatecznie, ażeby małżeństwo poczytywać mógł jako chloroform niezbędny przy amputowaniu — więc też olśniewająca świeżość cery i prześliczne oczy narzeczonej uczyniły zeń zdecydowanego kochanka, o jakich wspominaliśmy już przedtem. Zresztą, uczuwamy zwykle pewną wdzięczność, gdy rączka, przynosząca nam wybawienie, jest białą i miękką i kiedy z przyjemnością ucałować ją możemy — nieprawdaż? To też młody człowiek zadanie to spełniał z zapałem, a Klara zemknęła.

Nazajutrz za przybyciem znalazła Małgorzatę wzburzoną i zaniepokojoną.

Szło o coś całkiem od zwykłych zatrudnień odmiennego. Baron wyjechał właśnie wczoraj wieczorem i trzeba mu było przesłać odpowiedź na bilecik dziś z rana otrzymany. Więc gdy Klara powstała od biurka, podając jej pióro, Małgorzata krzyknęła:

— Ależ nie... pisz pani sama... jak zwykle...

Było coś nadzwyczajnego w tej korespondencyi narzeczonych, przez trzecią osobę prowadzonej. Klara stanowczo nie chciała spełnić zadania... Panna D. zaś, która w tym względzie znała się wybornie i którą niejednokrotnie już dzisiejszego poranku wykonywała próby listowe, nalegała, płakała trochę, odwoływała się do przekonań ojcowskich, tonem rozpieszczonego dziecka powtarzając:

— Cóż pani chcesz, żebym ja napisała do tego pana?

— A ja? — zapytywała Klara.

— Dla pani to jakby zadanie stylowe!.. Przedstaw sobie tytuł: list do narzeczonego!.. No, cóżbyś pani mu powiedziała?..

Coby mu powiedziała? Wiedziała o tem dobrze! I pokusa, być może upodobanie w sytuacyi skłoniło ją do ustępstwa.

* *
*

Nieobecność, zrazu mająca trwać tylko przez tydzień, przeciągała się znacznie i z zamku, którego odnowieniem młody baron zajmował się osobiście, z dniem każdym coraz dłuższe przybywały listy. Lubił te odpowiedzi, krótkie najczęściej, w których jednak niepochwytna subtelność umysłu odczuwać się dawała powoli; coraz różnorodniejszych dotykał przedmiotów, zachwycony tym oryginalnym a wdzięcznym umysłem kobiety, umiejącej trafnie zrozumieć go z oddali i tak śliczne przesyłającej mu odpowiedzi. Z uczuciem szczęścia naprzód już badał upodobania i gusta przyszłej towarzyszki, dostrzegał w nich wielkie podobieństwa z własnemi, zarówno jak i ten odcień melancholijny nieco, który mu się niezmiernie podobał, jako objaw bez-

wrogom kontrminami, skoro zawiązała się najstraszniejsza z walk — walka podziemna, gdzie najmężniejszy człowiek drży i tylko wówczas odetchnie, kiedy wyjdzie na świat i usłyszy nad swą głową muzykę bomb i kartaczów, pod ziemią bowiem, gdzie w każdej chwili może nastąpić wybuch i pogrzebać pracujących — co może zrobić najmężniejszy? Otóż znalazł się u nas żołnierz, który zakochał się w minach, dnie i noce rad w nich przesiadywał i doszedł do takiej doskonałości, że nigdy nie dał się podejść nieprzyjacielowi. Trzeba wiedzieć, że w tej ślepej wojnie najwięcej znaczy słuch. Kto pierwszy zauważy cichy szelest pracujących pod ziemią, ten się staje panem pozycyi: zakłada minę, zapełnia swój loch workami napełnionymi ziemią, podpala lont i niszczy pracę nieprzyjaciela...

Otóż wspomniany żołnierz - kret podobno słyszał nawet, jak trawa rośnie, a z czasem stał się prawie jasnowidzącym, gdyż przewidywał zamiary nieprzyjaciół. Kto mniema, że jest to legenda, niech przeczyta historyę oblężenia Sewastopola napisaną przez Ordę; jużci tam nie tak jaskrawie przedstawiony ów kret, lecz dosyć jasno, by sądzić, jaki słuch, jakie nerwy i jakie uczucia posiadał ten dziwny człowiek. Ile on ważył w tej słynnej wojnie podziemnej— czy taktyka może ocenić?..

Stołeczni politycy doszli do przekonania, że bytność cesarza Wilhelma w Narwie nie miała na celu żadnych zagadnień politycznych, jeno była zwykłą sąsiedzką grzecznością. Najjaśniejszy pan otrzymał od swego dostojnego gościa ładny powozik i zwamian podarował mu trójkę rumaków. W ostatnim dniu manewrów cesarz Wilhelm przyjął także udział jako dowódca pułku swojego imienia.

Warszawski korespondent gazety *Nowoje Wremia*, mówiąc o wyborze prezesa komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego, wzmiankuje, że ta instytucya ma przedewszystkiem na celu ochronę dużych majątków od drobienia na części i jakoby dochodzi w tym względzie do przesady: przekłada bowiem sprzedaż majątków cudzoziemcom nad parcelacyę ich i ustąpienie włościanom. Chyba to nie jest prawdą? Prosiłbym oznajomionych z tą sprawą — zaprzeczyć... *),

Jeszcze pytanie: Do projektującego się ogólnego zjazdu słowian austryackich polacy jakoby nie chcą należeć... Przecie i to nieprawda.

Czyżby wodzowie galicyjscy chcieli pozostać sami odosobnieni od wszystkich braci!.. W czem by pokładali nadzieję? — W herbach — to za mało. A może przekładają przyjaźń niemców? — Jest to worek na którym łatwo kark skręcić i stracić pamięć do takiego stopnia, że nawet można zapomnieć ojczystej mowy.

Czyż nawet i dymisya hr. Tarnowskiego niczego nie uczy owych światłych przewodników?

N. B.

*) Towarzystwo kred. ziems. prowadzi tylko politykę wyrozumiałego wierzyciela. Cudzoziemców nie popiera, bo mu na to nie pozwala nawet prawo, co jest zastrzeżone przy każdem jego ogłoszeniu o licytacyi. *Red.*

LISTY WIEDEŃSKIE.

30 sierpnia.

Zjazd niemieckich Towarzystw śpiewackich.

Mury stolicy naddunajskiej trzęsły się w tych dniach od śpiewu. Przeszło cztery tysiące teutonów zjechało się do Wiednia ze wszystkich stron świata i huknęło chóralnie nakształt trąb jerychońskich. Zapewne, że zjazd śpiewaków niemieckich miał w gruncie rzeczy pewną cechę zdrowej myśli narodowej, którą objektywnie uznać można, nad którą inne narody nawet nie bez korzyści zastanowić się mogą: ale naocznym, trzeźwym świadkom uroczystości tej tyle nasuwało się wrażeń przykrych, że z ironią tylko i niechęcią o niej wyrażać się musieli. Mówimy o wiedeńczykach, należących do sfer inteligentniejszych. Co najbardziej raziło u tych „braci niemieckich," to bezdenne pragnienie, które, sądząc po ich fizyognomiach, trwale u nich istnieje. W pierwszy dzień widziano tych otyłych, rumianych blondynów stojących gromadnie na progach restauracyj, krzepiących się niezmierzoną ilością t. z. „Stehseidlów"; nazajutrz widziano ich przeważnie w dorożkach: spici, z głowami odkrytemi, senni, spoczywali w ramionach towarzyszów o silniejszych nieco głowach. Na trzeci dzień zaś jeden z nich, wróciwszy późnym wieczorem do domu, otworzył sobie okno i będąc przekonany, że wychodzi drzwiami na ganek, wyszedł sobie w powietrze i spadł na podwórze, gdzie pozostał bez życia. Mało spotkałeś inteligencyi wśród przybyszów, byli to przeważnie rzemieślnicy i drobni przemysłowcy. Produkcye złączonych Towarzystw śpiewackich w wielkiej „Sängerhalle," wybudowanej na Praterze umyślnie dla członków zjazdu, artystycznej wartości nie miały; odmówiła im jej cała krytyka wiedeńska z Hanslickiem na czele. Wielkich kompozycyj chóralnych z akompaniamentem orkiestralnym, jak np. Wagnera „Uczta miłosna" lub „Rinalnaldo" Brahmsa goście wykonywać nie mogli, gdyż własnej orkiestry nie posiadali a na próby z wiedeńską czas nie starczył. Natomiast zjazd śpiewaków sprawił wiedeńczykom widowisko i zabawę, a dał powód do demstrancyi. W wielkiej „Sängerhalle" już na parę tygodni przed zjazdem odbywały się „zabawy ludowe" na wielką skalę, występowali tam atleci i karły, pokazywano sztuki kuglarskie i tresowane zwierzęta. Wzorzystą cechę nadano pochodowi legionów śpiewackich w pierwszy dzień zjazdu. Przed ratuszem suto udekorowanym ustawiło się 13,000 osób w szeregi, przerwane olbrzymiemi rydwanami. Był to widok istotnie malowniczy: sam ratusz, na którego stopniach, balkonach i wieżyczkach ugrupowały się setki wiedenek, purpurowy namiot burmistrza i trybuny, napełnione strojną publicznością, a przed niemi zwolna kroczący pochód śpiewaków, przebranyrh w większej części w średniowieczne lub ludowe kostjumy Towarzystw. Z udekorowanych artystycznie powozów najokazalszym był „Germania," następnie „Vindobona"; w obu zwracały na się uwagi piękne wiedenki, wyobrażające postacie alegoryczne. Malowniczą była też grupa germanów; byli to członkowie wiedeńskiego klubu atletów, w kostiumach starożytnych germanów, o obnażonych plecach i ramionach, obwieszeni skórą niedźwiedzią, z rogami lub skrzydłami na głowach. Za konną tą grupą kroczyli sinobrodzi druidzi i minstrele średniowieczni.

Polityczna strona zjazdu miała niedwuznaczną cechę pangermańską. Wiedeń usiłował dowieść, że jest jeszcze miastem niemieckiem, a przemowa burmistrza Prixa, powołująca się na łączność plemienną, przekraczającą linie graniczne państw, przyjęta została burzą oklasków. „Łączność plemienna — mówił Prix — jest faktem naturalnym, niedającym się zaprzeczyć. Jest to fakt tak prawdziwy, jak ten, że dzieci, wnuki i prawnuki należą do jednej rodziny." Jedności plemiennej nie rozrywa ani czas, ani miejsce. W tem znaczeniu, niemcy austryaccy połączeni są z niemcami w wielkiem państwie niemieckiem, a ci z nami."

Trudno brać niemcom austryackim za złe zaznaczenie swej łączności jednoplemiennej z ludnością pod innem żyjącą berłem. Ale warto zauważyć, że manifestacya ta

---

wiednego, trwożnego wzruszenia. Pewnego razu pisał do niej:

„Cudowne nosisz imię — wspólne kobietom, perłom i kwiatom, których przymioty i wdzięki całkiem wcieliły się w tobie... Imię to podczas długich, chmurnych poranków, spędzanych nad rachunkami dzierżawców, użycza mi cierpliwości! Wprost naprzeciw mnie u okna znajduje się piękny kłąb stokroci i kiedy cała ta obrzydła monotonia umów dzierżawców zanadto mię męczy, ku kwiatom tym zwracam oczy i do nich cichutko mówię: „Dzień dobry, małe stokrotki *), czyste jesteście, białe jesteście i pełno w was wdzięku, jak u dziewczęcia, które kocham, a w błyskach waszych środeczków dostrzegam złoto jej włosów." Poczem zdobywam się na odwagę, kończę następny artykuł kontraktu i znowu gawędkę moją rozpoczynam z milutkiemi siostrami twojemi!.."

W liście następnym, pośród licznych wiadomości, odnoszących się do stosunków rodzinnych, wyczytał ustęp:

„Dzięki za wszystkie śliczne rzeczy, któremi cię natchnęło biedne imię moje. Podkreślilam je w kalendarzu, jak podkreślają zazwyczaj imiona świętych, uroczyście obchodzonych; nie wiem tylko, dlaczego lubisz je porównywać z kwiatami — tak szybko więdną one, parę płatków, które uschną lub będą zerwane — oto wszystko!.. Wyobraź sobie, że widzisz kilkanaście listków białych, niknących w powietrzu, a z nimi szczęście twoje znikające w przestworzu, czy lubiłbyś w takim razie nazywać mię Margeritą (stokrotką)?.."

Zaniepokoił go smutny ton listu i z żywym niepokojem o przyczynę jego zapytywał narzeczoną, lecz ona odpowiedziała mu wesoło i korespondencya toczyła się dalej ku jego zwiększającej się radości.

Co do Klary, ta całkiem się oddała korespondencyi, porwana, sama nie wiedząc o tem, dziwnym czarem tego uczucia bez nazwy, które łączyło ją z nieznajomym.

Używała tedy rozkoszy, czystej, subtelnej, czując się zrozumianą i należycie ocenioną przez człowieka inteligentnego i rozumnego, którego czułość i wyznania miłosne, jakkolwiek nie ku niej bezpośrednio zwracane, niemniej przecież pieściły ucho jak najsłodsza melodya.

Rzuciła się więc z zachwytem w tę rozmowę z oddali, w której całe bogactwo form listowych rozwinąć usiłowała; styl zaś jej tak nawskroś kobiecy, tak pełen zalotności w wyborze słów, podobnym się stawał do stylu przodków naszych, którzy tylko dla przyjemności pisania kreślili owe prześliczne bileciki w XVIII stuleciu, a których sztuki my już dzisiaj nie posiadamy wcale.

Wszystko przyczyniać się zdawało ku zwiększeniu uroku tej szczególnej sytuacyi; nawet mętne wspomnienia owych listów raz tylko przeczytanych, których wyrażenia i zwroty usiłowała sobie przypomnieć w malutkim pokoiku swoim, dzięki właśnie tej niepewności odtwarzały się w jej umyśle piękniejsze i doskonalsze, niż były istotnie.

Żyjąc wyłącznie teraźniejszością, zaprzestała rachować dnie, „te płatki białe" — jak je nazywała niegdyś, które czas jeden po drugim z serca jej wydzierać się zdawał. Nie myślała przecież o tem, że wszystko skończyć się musi prędko i bezpowrotnie.

* *

Pewnego poranku, wchodząc do małego gabineciku, mieszczącego teraz w sobie cały świat jej marzeń, znalazła w nim pannę D. ubraną jak do wyjścia, spieszącą się, której czas zaledwie miała czas wymówić:

*) *Stokrotka* po francusku *margueritte* — Malgorzata.

wskutek obecności członków domu panującego otrzymała poniekąd sankcyę rządową, że te wybuchy pangermańskie odbyły się pod okiem tegoż samego rządu.

Stwosz.

Z NIEMIEC.

6 września.

Proces aktorki z recenzentem.

Gorszący wypadek zajmuje obecnie żywo szerokie koła publiczności niemieckiej. Aktorka, z którą król krytyków berlińskich, Paweł Lindau, przez czas pewien utrzymywał stosunek, skompromitowała go ogłoszeniem jego listów. Niektóre przytem pisma wystąpiły z najcięższymi przeciw niemu zarzutami, piętnując postępowanie jego jako dowód zgnilizny, panującej w sferze teatralnej i powiązanych z nią kołach literackich. Przez czas pewien trudno istotnie było zorjentować się w tej sprawie. Z jednej strony bowiem Lindau pozostaje w ścisłych stosunkach z wybitnymi członkami wszystkich niemal pierwszorzędnych pism niemieckich, które milczały; z drugiej — cały materyał, który znany był publiczności, streszczał się w oskarżeniu aktorki i w wyciągach z kilku listów Lindaua, które, bądź co bądź, rzucały pewien cień na postępowanie jego, lecz dla ludzi, nieobznajomionych z całym przebiegiem zatargu, nie dawały jeszcze podstawy do wyrokowania. Nie wiedziano bowiem, jakiem było postępowanie owej aktorki, a wiadomo, że jeżeli kobiety wogóle umieją dokuczyć mężczyznom, to aktorki w tej sztuce celują. Im więcej jednak szczegółów, dotyczących sprawy Lindaua, na jaw wystąpiło, tem większem staje się prawdopodobieństwo, że pokrzywdzoną została kobieta o większej wartości umysłowej i moralnej przez człowieka nieprzebierającego w środkach.

Paweł Lindau słynie jako powieściopisarz i dramaturg. W Berlinie zdobył sobie wpływ przemożny na sfery teatralne jako recenzent dziennika *Berliner Tagblat*, na dziennikarskie zaś—jako adjutant publicystyczny Bismarka i syna jego Herberta. W rzędzie artystek, ubiegających się o protekcyę wpływowego krytyka, zjawiła się p. Elza Szabelska, kobieta niezwykłej urody i inteligencyi, zaangażowana do Residenzteatru. Lindauowi, któremu niedawno żona uciekła, artystka ta podobała się o tyle, że zawiązał z nią stosunek miłosny. Znalazł w niej nietylko kochankę, lecz i współpracowniczkę. Do niedawna okrywała to tajemnica, że Lindau był dramaturgiem berlińskiego „Deutsches Theater"; co zdradziły listy ogłoszone przez p. Szabelską. Z listów tych dowiedziano się bowiem, że Lindau, zamiast przeglądać osobiście dramaty powierzone mu do oceny, przesyłał je pannie Szabelskiej, która, przejrzawszy, dostarczała mu krótkich sprawozdań. Z nich dowiadywał się on o treści sztuk podanych do dyrekcyi teatralnej, i według sądu p. Szabelskiej polecał wystawienie ich lub odradzał. Sam fakt, iż Lindau dzielił pracę żmudną z kobietą, której inteligencyi ufał, mniej godnym jest potępienia, aniżeli cyniczny sposób, w jaki manipulacyę tę traktował w listach pisanych do przyjaciółki. Bądź co bądź, rozwój literatury dramatycznej po części od niego zależał; wiadomo zas, że za rządów Lindaua na pierwszej scenie berlińskiej nie pojawiła się ani jedna sztuka nowego autora; przepuszczał on tylko utwory firm znanych, których przestudyowanie nie sprawiało mu kłopotu. Panna Szabelska odznacza się znać istotnym talentem, gdyż pomagała mu dzielnie przy układzie i wypracowaniu ostatniej sztuki „Schatten," o czem świadczy ogłoszony przez nią telegram. Lindau odwdzięczał się przyjaciółce swej, popierając ją w zawodzie scenicznym. Zdobył dla niej wszystkie pierwszorzędne w utworach swych role, a nowe sztuki lub przekłady odstępował dyrekcyi tylko pod warunkiem, że p. Szabelska otrzyma role główne. Kiedy artystce za mało jeszcze było wawrzynów, a Lindau sam w recenzyach bardziej polecać jej już nie mógł, protegował ją za pomocą zaprzyjaźnionych z nim krytyków innych dzienników, Zabla, Kellera, Landaua, Brahma i Wolffa. I tę tajemnicę zdradziła p. Szabelska, kompromitując całą grupę literatów, którzy wzajemne usługi sobie świadczyli.

Stosunek ten trwał zaledwie rok. Lindau zerwał go z przyczyn nieznanych jeszcze publiczności. Być może, że charaktery literata i artystki nie zgadzały się z sobą, w każdym razie zaś to pewna, że stosunek ten, stał się jawnym i kompromitował Lindaua na każdy kroku. W jednym z listów pisze on do p. Szabelskiej: „Nie chcę, aby zawsze, gdy ona występuje na scenie, spoczywały na mnie spojrzenia z parteru i badały minę ją."

Postanowił więc pozbyć się niewygodnej aktorki i wziął się do tego w sposób Bismarkowski. Zażądał od niej, aby opuściła Berlin w ciągu dwudziestu czterech, najpóźniej czterdziestu ośmiu godzin. Gdyby zgodziła się na to żądanie, zobowiązał się rozwiązać bezinteresownie kontrakt, łączący ją ze sceną Barnaya, i postarać się drogą telegraficzną o miejsce dla niej w teatrze frankfurckim, praskim lub lipskim. Nadmieniał w liście, że skuteczności pośrednictwa swego pewnym jest zupełnie, i oto co najbardziej oburzyło publiczność i uczciwą część prasy: stosunek zawisłości, w jakim pozostają sceny względem krytyka i łatwość, z jaką on wpływu tego nadużywa dla wygody swej osobistej. List Lindaua zawierał i groźbę: gdyby p. Szabelska z Berlina się nie wyniosła, wówczas on nie bywałby na przedstawieniach, w których ona by występowała, a nie pisząc o nich recenzyj, zmusiłby *mimowoli* dyrektora do rozwiązania z nią kontraktu; to samo powtórzyłoby się, gdyby dostała się na inną scenę.

Panna Szabelska nie ustraszyła się tej groźby i walkę podjęła. Doznała potęgi wpływu Lindaua. Musiała ustąpić ze sceny Barnaya, a żadna agentura wystarać się dla niej nie mogła o miejsce na innej berlińskiej. Wówczas p. Szabelska, pozbawiona środków do życia, pomyślała o swym talencie literackim i żyła z artykułów pisywanych przygodnie. Pragnęła polepszyć byt swój wystawieniem dramatu p. t. „Sławny człowiek." Nie trudno odgadnąć, kto był bohaterem tego dramatu. Przyjęto go jako utwór udatny, a podany bezimiennie; lecz ktoś niedyskretny zdradził tajemnicę Lindauowi, który zapobiegł wystawieniu sztuki. Od tej chwili p. Szabelska pozbawioną była źródeł utrzymania, i wówczas to zwróciła się do redakcyi *Volkszeitung* z prośbą o ujęcie się za jej krzywdą i napiętnowanie Lindaua. *Volkszeitung* ogłosiła listy Lindaua, który oddał całą sprawę pod sąd stowarzyszeniu literackiemu „Berliner Presse," na którego czele stoi Ernest Wichert. Zbadano w tych dniach cały przedstawiony materyał i orzeczono jednogłośnie, że Lindau nie popełnił żadnego kroku niehonorowego lub nagannego. Lecz opinia publiczna potępia go. Wiadomo było oddawna, w jak ścisłych pozostają stosunkach dyrekcye teatrów z wpływowymi krytykami, i że ci nadużywają wpływu swego dla przyjaciółek. Lecz głównie budzi powszechne na Lindaua oburzenie, oto okoliczność, że z dawną kochanką obszedł się nieszlachetnie, że pozrywawszy stosunek z nią, zamiast pozostać wiernym jej przyjacielem, zaczął ją prześladować. Jako literat sprawa ta Lindaua nie zgubi; lecz jako człowiek stracił on na zawsze prawo do szacunku i sympatyi.

Ladawa

— Przeczytaj to pani... Masz niesłychane powodzenie!.. Dziękuję ci i do widzenia!.. Należy korzystać z ostatnich dni czterech przed ślubem, nieprawdaż? Zresztą w dniu 4 maja zobaczymy się jeszcze...

Wyszła.

List, pisany charakterem dobrze znanym Klarze, zawierał tylko tych słów kilka:

„Dziękuję Bogu, że się skończyło wreszcie wygnanie moje. Wyjeżdżam, wyjeżdżam natychmiast, aby na zawsze już pozostać przy mej ukochanej, którą kocham dziś stokroć więcej, niż przed odjazdem. Teraz bowiem, gdyś po raz drugi zdobyła moje serce, wyznać muszę, żem przedtem znał cię i kochał tylko w połowie!

Byłaś mi zawsze taką milczącą, strwożoną!.. Któżby w tobie domyślić się mógł tych skarbów dowcipu i wdzięku, które z oddalenia przysyłałaś mi każdego poranku, niby smutnemu więźniowi promyk słoneczny.

Znałem cię tylko niewymownie piękną; że zaś okazałaś mi się taką rozumną, wytworną, złożę ci za to dzięki dziś wieczorem tak gorąco, jak gorącą jest radość moja z tej niespodzianki."

Niema, wzruszona, Klara czytała, odczytywała te kilka wierszy z takiem zmieszaniem smutku i radosnej dumy, że uczuć swych nie umiałaby sama nazwać po imieniu. Ramionami wzruszała na myśl o narzeczonej, która list ten do przeczytania dała, a zarazem gorzko zazdrościła jej tego, co było jej tak istotną, tak prawowitą własnością.

Raz, drugi, dziesiąty odczytała liścik ten nieruchoma i dla wszystkiego, co ją otaczało, obojętna, aż liczna gromada służby napełniła pokój.

Tu bowiem dzisiejszego wieczoru urządzić miano wystawę darów pana młodego i wyprawy panny młodej, w tym też celu pąsowym pluszem okrywano stoły.

Wciąż nieporuszona, o biurko wsparta patrzyła na krzątaninę służących, aż jeden z nich w przechodzie potrąciwszy ją zlekka, z uprzejmem przeproszeniem mówić zaczął o pośpiechu i ścisku, spowodowanym wkrótce nastąpić mającą uroczystością weselną. Skinęła głową i wciąż trzymając papier w zaciśniętych palcach, wyszła, nie rzekłszy słowa.

Gdy znajdowała się już na dziedzińcu, lokaj, który wybiegł za nią, zatrzymał ją i wręczył mały zapieczętowany pakiecik.

— Panienka, wychodząc, rozkazała wręczyć to pannie de Sauluis — objaśnił. Nie spodziewałem się, że pani tak wcześnie odejdzie.

Podziękowała mu skinieniem głowy i pobiegła tak szybko, że mniej niż w kwadrans była już u siebie.

W kieszeni czuła ciężar rulonu złota, będącego zapłatą za dwa ubiegłe miesiące. Wyjęła go, patrzała nań przez chwilę, ważąc w dłoni, poczem gwałtownym ruchem ustawiła złoto na środku stołu, zapaliła przy niem dwie świece i sama z uśmiechem szyderstwa i buntu przed tym ołtarzem na kolana upadłszy, cicho mówiła:

— Cześć ci składam, o bożku, który...

Po krótkiej chwili zdjęta wstydem i wyrzutami sumienia, jednym zamachem ręki obaliła tę podobiznę ołtarza i z rozpaczliwym płaczem upadła na łóżko, a gdy głośne łkanie wstrząsało jej ciałem, kwietniowe słońce, zmieszane z drobnym deszczykiem, zraszało i pozłacało naprzemian małe okna jej poddasza.

Tłom. *M. Siemaszko.*

BADANIA NAUKOWE.

PSYCHOLOGIA A TECHNIKA.

Niema człowieka myślącego, któremu by nie nasunęły się podobieństwa, zachodzące pomiędzy aparatami technicznymi, pracującymi nieświadomie, a organami ciała ludzkiego, których funkcye maszyna ludzka sobie uświadamia. Podobieństwa te posłużyły w ostatnich latach niektórym uczonym za podstawę do badań poważniejszych, których wyniki dziś już są zdumiewającemi, a nadto otwierają widok na szereg niedocieczonych jeszcze, lecz przystępnych dla umysłu ludzkiego tajemnic. Przed trzynastu laty E. Kapp ogłosił dzieło p. t. „Philosophie der Technik.“ Myśl przewodnia jego pracy streszcza się w tem, że wszelkie narzędzia i maszyny pojmować należy jako części i organy człowieka, lub raczej jako zarysy organów ludzkich, które duch ludzki przenosi w świat zewnętrzny. Według Kappa, wynalazki techniki naśladują i kombinują jeno wzory organiczne; plan pierwotny każdej maszyny istnieje w organizmie ludzkim. Siła kształtująca, która wytworzyła człowieka i jego organy, zapomocą ducha jego tworzy maszyny bardziej jeszcze złożone, lecz stanowiące jeno dalsze ogniwa w nieprzerwanym łańcuchu tworów z niej wypływających.

Myśl ta, która w pierwszej chwili wydawać się może mistyczną, nabywa prawdopodobieństwa, skoro przyjrzymy się szeregowi wynalazków technicznych, przypominających organy ciała ludzkiego. Ogólnie znanem jest podobieństwo przyrządu fotograficznego (camera obscura) z okiem ludzkiem. Analogię tę upatrywano dawniej jeno w mechanizmie obu aparatów; nowsze badania wykazały atoli, że i skład chemiczny siatkówki odpowiada amalgamowanej płycie przyrządu fotograficznego wrażliwością na światło. A odkąd w obserwatoryum paryskiem zdjęto widoki gwieździstego nieba, kamera jest nietylko narzędziem odbijającem przedmioty widoczne dla oka ludzkiego, lecz stanowi niejako wyższą jego formę rozwojową, gdyż wzbogaca mapy astronomiczne o miliony gwiazd i rozkłada mgły kosmiczne, które dotychczas opierały się największym teleskopom. Fortepian istniał wiek cały, zanim w głębi ucha ludzkiego odkryto t. zw. aparat Costiego, stanowiący fortepian o strunach uwitych z delikatnych włókien nerwowych. Komuż wreszcie nie wpadła w oko analogia, istniejąca między funkcyami nerwów a drutów telegraficznych?

Ciekawe studyum z tej samej dziedziny, oparte na myśli przewodniej Kappa, ogłosił niedawno A. Grawein. Zastanawia on się nad fonografem jako podobizną organu ludzkiego — i to najszlachetniejszego i najbardziej złożonego. Fonograf funkcyą swą odpowiada pewnej funkcyi mózgu ludzkiego: pamięci. Psychologia fizyologiczna twierdzi, że każde wrażenie pozostawia ślad materyalny na substancyi mózgowej; że wryte te znaki są podstawą pamięci i że ruch najdrobniejszych tych cząstek mózgowych, pokrytych znaczkami, wywołuje wspomnienie wrażeń niegdyś odebranych. I rzecz dziwna: zupełnie tak, jak według hipotezy tej działa mózg, w rzeczywistości pracuje fonograf. Tysiące znaczków drobnych przenosi sztyfcik stalowy na miękki wałek, który po dziesiątkach lat odtwarza wrażenia odebrane z wiernością przewyższającą pamięć ludzką. Psychologia spirytualistyczna wystąpiła przeciw hipotezie fizyologów z zarzutem, że jest to niemożebnością mechaniczną, aby drobny mózg ludzki mógł objąć tyle znaczków. Obliczono bowiem, że potrzeba trzeciej części sekundy, aby wyobrażenie powstać mogło w mózgu ludzkim. Człowiek pięćdziesięcioletni, chociażby przespał dwie trzecie życia swego, musiałby tedy pomieścić w mózgu swym około 1,577,880,000 znaczków, a każdy gran mózgu nosiciby musiał na sobie 205,542 materyalnych śladów wrażeń odebranych. Lecz oto fonograf, złożony z materyałów o tyle grubszych, na kilku calach kwadratowych pomieścić może przeszło 20,000 znaczków skomplikowanych — o ileż przez to wzrasta prawdopodobieństwo hipotezy fizyologów!

Studyum Graweina dąży przedewszystkiem do wzbogacenia wiadomości naszych psychologicznych za pomocą analogij, zachodzących pomiędzy fonografem a mózgiem. Oto, jak usuwa drugi zarzut, czyniony mechanicznej hipotezie władz pamięciowych. Skoro wrażenia odbierane pozostawiają ślady na naszym mózgu — twierdzą spirytualiści — w takim razie pamięć ludzka powinna być zdolną do reprodukowania i takich wrażeń, które wryły się w wieku dziecięcym nawet, bez woli i uwagi naszej. Wiadomo, że podobna wszechstronność zachodzi w fonografie i nieraz komiczne powoduje wyniki. A skoroby dowieść można, że i pamięć ludzka podobne okazuje zjawiska, hipoteza fizjologów zyskałaby znacznie na prawdopodobieństwie. Otóż zjawiska takie obserwowano rzadko u ludzi, których mózg funkcyonuje normalnie, lecz często w chorobliwem podnieceniu, jakiemu ulega pamięć we śnie, pod wpływem pewnych chorób mózgowych, a przedewszystkiem w suggestyi hipnotycznej. Grawein przytacza szereg przykładów znanych już w nauce, lecz niewyzyskanych dotychczas. Taine w dziele swem o *Inteligencyi* opowiada, że w domu ambasadora hiszpańskiego w Paryżu odbywały się konferencye polityczne w języku francuskim, przy których służbę kamerdynera pełnił chłopak hiszpański, nierozumiejący ani słowa francuskiego. Po kilku miesiącach chłopak ten spadł z konia i uległ wstrząśnieniu mózgu. W gorączce mówił po francusku, powtarzając dosłownie rozprawy dyplomatów. Maudsley znów znał dwudziestokilkoletnią służącą, która podczas gorączkowej choroby nerwów recytowała długie ustępy w języku łacińskim, greckim i hebrajskim. Okazało się potem, iż pacjentka, będąc dzieckiem dziewięcioletniem, była w domu wuja swego, uczonego duchownego, który zwykł był czytywać głośno.

Dziwniejsze jeszcze objawy występują pod wpływem pewnych środków narkotycznych (haszyszu) lub wobec niebezpieczeństwa śmierci, zaskakującego człowieka nagle. Rzec by można, że wówczas cały wałek mózgowy obraca się w okamgnieniu z niesłychaną szybkością, tak iż przed duchem naszym w jednej chwili zmartwychwstają wszystkie wrażenia, jakie odebraliśmy w ciągu życia. Jestto t. z. zgeszczenie wyobrażeń, którem specyalnie zajmował się Fechner. Znanym jest w tej mierze przykład admirała Beanforta, który walcząc z nurtami w ciągu kilku sekund, widział całe swe życie aż do szczegółów najdrobniejszych.

Najbardziej zaś widoczną analogię pomiędzy fonografem, a aparatom pamięciowym człowieka wykazują doświadczenia hipnotyczne. Zapomocą suggestyi bowiem wprowadzamy w ruch dowolnie pewne części owych wałków mózgowych i reprodukujemy pewne ustępy z przeszłości człowieka, podobnie jak dowolnie nakręcać możemy aparat Edisona. *L.*

LITERATURA I SZTUKA.

CZYNNIKI SPOŁECZNE W LITERATURZE.

IV.

Dawniejszą doniosłość różnicom rasowym można przy obecnym stanie badań przypisywać tylko ze względów praktycznych; głównym czynnikiem w naszych czasach jest tu antisemityzm, pobudzający zgraję nieobrzezanych żydów do nalepiania naukowych etykiet na wytwory ciemnoty i zabobonu. Nie możemy w miejscu tem zastanawiać się nad tą kwestyą z punktu widzenia czysto antropologicznego, tem bardziej, że czytelnicy *Prawdy* znają to ostatnie słowo nauki pod tym względem z dzieła Miecznikowa, o którem niedawno umieszczone było dokładne sprawozdanie. Musimy się wszakże zastanowić nad tem, o ile rasowość objawia się w literaturze i sztuce. Niechaj nam wolno będzie przytoczyć w sprawie tej zdanie jednego z najwybitniejszych działaczy na polu „krytyki naukowej,“ Emila Hennequina, wyrażone w znanem jego dziele, *La critique scientifique.*

Gdyby istniały rasy „czyste,“ jednorodne, stałe i nieliczne, to, w drodze małżeństw pokrewnych i wspólnego pożycia, mogłoby się ustanowić takie podobieństwo pomiędzy członkami tej grupy, iż właściwości moralne jednego osobnika byłyby też same, co i każdego innego. Wówczas analiza dzieła artystycznego, którego autorem byłby jeden z członków danej „rasy,“ pozwalałaby nam wnioskować o składzie duchowym nie tylko autora, ale i wszystkich jego współrodaków. Ale jestto tylko przypuszczenie na niczem nie oparte. Tego rodzaju ras czystych i jednorodnych na świecie niema, a przynajmniej żadna z nich nie stała się narodem, któryby utworzył państwo cywilizowane, wydał literaturę i sztukę.

Antropologia okazuje nam od czasów najdawniejszych proces krzyżowania się i mieszania ras. Historya dowodzi, że nie ma narodu utworzonego przez jedną rasę. Wszystkie, od egipcyan do asyryjczyków, od żydów do fenicyan, od greków do rzymian, od aryjskich indów do irańczyków, od przedhistorycznych plemion północnoeuropejskich i aż do samych nawet chińczyków — wszystkie, powtarzamy, utworzone zostały przez zwycięskich wychodźców, którzy sami ulegli wpływowi podbitych tubylców i zasymilowanych po drodze elementów etnicznych. Rozbiór czaszek, mumii, szkieletów, pomników ikonograficznych, njastarszych nawet, pokazuje w każdej grupie społecznej, jak daleko tylko sięgnąć można, mnóstwo odrębnych typów somatycznych. Nawet Anglia, którą położenie wyspiarskie powinno było uchronić od najazdów, przedstawia znaczną ilość odrębnych ras. Spencer wylicza je w swej *Descriptive Sociology* sumarycznie: dwa typy etnologiczne bretończyków, różniące się uwłosieniem i formą czaszki; kolonistów rzymskich w liczbie nieznanej; plemiona anglów, jutów, sasów, kymrysów, duńczyków, norsów, szkotów i piktów i nareszcie normanów, którzy, według Augustyna Thierry'ego, obejmowali kilka elementów etnicznych na całym wschodzie Francyi. Wszystko to się po części pokrzyżowało, po części zróżniczkowało, tak że nawet ten naród (angielski), przedstawiający jeszcze pewne cechy wybitne, zawiera typy najrozmaitsze, południowe obok skandynawskich, ludzi o głowach iberyjczyków i mongolidów. Cała znana nam starożytność daje także same rezultaty. W znaczniejszym jeszcze stopniu można to powiedzieć o „narodach“ współczesnych. Ludność Piemontu w zupełności się różni od neapolitańczyków i od zaludnienia innych prowincyi włoskich. Prusy z czasów Schleiermachera także mało są podobne do Prus z czasów Bismarka, jak pomerańczycy do szwabów, a i ci ostatni ileż różnic zawierają pomiędzy sobą. Toż samo powiedzieć można o całych Niemczech. „Co się tyczy Francyi — mówi autor — to wiadomo, iż pomiędzy mieszkańcem Marsylii i mieszkańcem Lille'u istnieją różnice oddzielające dwa narody, a przytem ani na południu, ani na północy

ludzie nie są do siebie podobni. Te różnice fizyczne odpowiadają jeszcze głębszym różnicom moralnym, przyczem towarzyszą im olbrzymie zmiany w czasie... Jestto wielki błąd historyczny i polityczny, jeżeli wierzymy w istnienie stałych i powszechnych rysów u narodów, które zawsze i wszędzie były złożone i zmienne. Naród jest zlepkiem różnych ras, z których żadna nie może być rozpatrywana, jako czysta i nie ma nic wspólnego oprócz miejsca zamieszkania i języka potocznego, w którym także można odróżnić jeszcze tysiąc składników; *to też gdy pewien naród wydaje literaturę, jestto literatura języka, a nie rasy*." Toż samo sztukę każdego narodu tworzą ludzie przybyli z czterech jego końców (gdzie rasy mogą być rozmaite) a oprócz tego i cudzoziemcy, przyciągnięci przez przypadek. Wśród rzymskich pisarzów są grecy, italczycy, kartagińczycy, hiszpanie, francuska sztuka współczesna zawiera włochów, belgijczyków, niemców, amerykanów, anglików literatura francuska zawdzięcza tyleż celtom z Bretanii, co i rzymianom z Prowancyi. „Nareszcie, dziedziczność moralna osobista jest tak nieznaczna, iż nawet wśród plemion, które, stanowiąc część składową pewnego narodu, pozostały czystemi, nie sposób odróżnić jakiegokolwiekbądź charakterystycznego podobieństwa pomiędzy ich artystycznymi i literackimi przedstawicielami. Niewiadomo np., kto jest bretończykiem Chateaubriand czy Renan; kto normandczykiem — Flaubert czy też Barbey d'Aurevilly. Goethe i Beethoven są obydwa niemcami z południa; Burns i Carlyle — szkotami." Oto streszczenie poglądów Hennequin'a na tę kwestyę *): wykazują one, że, jeżeli wpływ „rasy" na rozwój literatury i sztuki, nie jest wprost żaden, to w każdym razie nader zagadkowy.

Nie mniej dosadną jest krytyka, jakiej Hennequin poddaje poglądy Taine'a na stosunki zależności, istniejące wrzekomo pomiędzy duchem artysty, a miejscem za mieszkania jego samego, czy jego rodziny, czy też nawet jego „rasy." Jestto jeden z czynników składowych „otoczenia" (le milieu), któremu Taine przypisuje tak znaczny wpływ na rozwój literatury i sztuki. „Przy obecnym stanie etnografii — mówi Hennequin niema żadnych poważnych danych, żadnego prawa, któreby pozwalało oznaczyć wpływ, jaki cechy klimatyczne, geograficzne lub malownicze pewnej miejscowości mogą wywierać na jego mieszkańców." Jeżeli wpływ ten istnieje, to jest on w każdym razie nadzwyczaj słaby i wymaga długich bardzo okresów dla swego przejawienia.

W kwestyi rasowości krytyka Hennequin'a jest zupełnie słuszna. Podziwiać trzeba, jak i Letourneau np., przedstawiając rozwój moralności, własności, świadomości politycznej, nie spostrzega, że przyznawana przezeń odrębność ras, nie przeszkadza im, aby przechodziły pod tym względem przez fazy prawie zupełnie identyczne. Jeżeli jedne z nich przystanęły na niższych szczeblach, a inne posunęły się wyżej na drabinie społecznego rozwoju, to jedynie dzięki rozmaitości warunków materyalnych, wśród których się rozwijały. Bogactwo lub ubóstwo otaczającej przyrody, potęgując lub hamując postęp ekonomiczny, potęgowały lub hamowały ogólny rozwój społeczny i wszystkie strony świadomości ludzkiej z nim związanej, między innemi artystycznej. Oto czemu sądzimy, iż otoczenie fizyczne, przyrodzone ma daleko większy wpływ — jakkolwiek pośredni tylko — na rozwój literatury i sztuki, niż Hennequin to przypuszcza.

Ostatecznie dochodzimy do wniosku, iż, ustanawiając hierarchię, pomiędzy czynnikami od których, zdaniem Taine'a, jest zależny rozwój literatury i sztuki, trzeba naznaczyć miejsce najpodrzędniejsze rasie, następne, bardziej wybitne „otoczeniu przyrodzonemu," a pierwszorzędne „otoczeniu społecznemu" (które obejmuje „le milieu social" i „le moment" Taine'a).

Zdanie to, że rozwój świadomości artystycznej znajduje się pod przeważnym wpływem rozwoju stosunków społecznych, spotyka się z poglądem prof. Hutcheson Macaulay Posnett'a, który w znakomitem swem dziele o „Literaturze porównawczej" dowodzi, iż morfologia artystyczna jest wszechstronnie i ściśle związana z rozwojem życia społecznego. Pokaże on nam, jak pierwotny gens, drobna republika starożytna, monarchia feodalna, okres cywilizacyi narodowych, i nareszcie cywilizacya ogólno-ludzka, kosmopolityczna — jak każda z tych faz społecznego rozwoju wywoływała odpowiednią fazę rozwoju świadomości artystycznej.

Jeszcze Karol Otfried Müller zauważył, że trzy stopnie ewolucyi politycznej greków znajdują jakby swe odbicie w rozwoju ich literatury: okres epiczny odpowiada monarchii z całokształtem jej urządzeń społecznych, poezya liryczna — czasom najburzliwszym ustanowienia rządów respublikańskich, dramat — hegemonii Aten i okresowi wolności. Jestto jednak drobny tylko przykład. „Weźcie jakikolwiekbądź utwór artystyczny — powiada Posnett — a przekonacie się, iż istnienie jego jest pośrednio lub bezpośrednio zawarunkowane przez pewne formy pożycia społecznego." Ale zanim przejdziemy do tych kwestyi, musimy jeszcze zobaczyć, jak się one Taine'owi przedstawiały, a zarazem, czy pośród stosunków społecznych, które krytyk angielski na równi z francuskim, bierze zupełnie sumarycznie nie może być znowu ustanowiona pewna hierarchia. Wymagać to będzie, abyśmy nadali pracy naszej charakter na poły literacki i na poły socyologiczny. Ale cóż robić? Literatura i sztuka są to zjawiska *par excellence* społeczne i pojąć ich w oderwaniu od społeczeństwa niepodobna.

Leon Winiarski.

*) Str. 96—106.

ALEKSANDER GŁOWACKI

(Bolesław Prus).

VI.

Trzecim najjaskrawszym, wyzutym z wszelkiego prawdopodobieństwa i mięscami odrażającym melodramatem jest „Omyłka," będąca istotnie wielką, ledwie zrozumiałą omyłką talentu autora. Popełnił on ją, nie jak dwa poprzednie utwory, w pierwszych latach swej działalności, ale w późniejszych (1885); tem bardziej właśnie zadziwia nas niedojrzałość i kalectwo tego cudacznego płodu, który mógł wejść do literatury bez nagany tylko pod szerokiem skrzydłem popularności Prusa. Zapomniawszy o sympatyi, jaka go zewsząd otacza, nie zdolalibyśmy nigdy pojąć, dlaczego w krytyce naszej ochłostano początkowo „Szkice węglem" Sienkiewicza, a spokojnie lub nawet z uznaniem przyjęto „Omyłkę."

Trudno o większą odległość na skali i tegoż samego umysłu, nad tą, jaka dzieli ową „Omyłkę" od „Anielki." Jest to bowiem odległość ramoty od utworu mistrzowskiego, chociaż poprzedzającego tamtą o lat pięć. Prus nazwał początkowo tę piękną swoją pracę „Chybioną powieścią." Jeżeli nowa ta zdradza bodaj w najmniejszym stopniu mniemanie autora o swem dziele, to mamy jeden więcej dowód częstych omyłek ojców literackich w sądzeniu swych dzieci. „Anielka" zasługuje na dokładniejsze poznanie i dlatego radzimy czytelnikowi, ażeby nie poprzestał na tym treściwym wyciągu, który mu tu podać możemy. P. Jan, dziedzic folwarku, odłużonego hulankami i opustoszonego ciągłą nieobecnością gospodarza, chce jeszcze z niego wyciągnąć na lekkie życie pozostałą resztę. Był to „słaby pływak, umiejący tylko klaść się z wdziękiem na fali wypadków." Twierdzi on, że „kiedyś, gdy się ureguluje zachwiane społeczeństwo, on ma nadzieję odzyskać wszystko." Na rachunek tej wiary trwonił, co tylko się dało, a wreszcie sprzedał las niemcom pod warunkiem, że wprzódy usunie służebności. Ma on żonę, przyzwyczajoną do zbytku, której klejnoty kolejno zastawia i sprzedaje, a która, po części z przywidzenia, nieprzerwanie choruje i wmawia chorobę w synka, strzeżonego przed świeżem powietrzem. Natomiast córka jej (13 letnia) Anielka, wychowująca się pod okiem nauczycielki, starej panny, wiecznie podejrzywającej Jana o zamach na jej cnotę, rozwija się swobodnie i szybko. Tymczasem chłopi nie chcą usunąć służebności separacyą i dopiero zgodzili się na nią przerażeni wtedy, kiedy wobec nadchodzącego terminu wyrąbywania lasu, pan cały majątek niemcom sprzedał. Wyjechał on, nie uprzedziwszy o tem żony. Zanim wszakże usunęli ją nowonabywcy, często karany i mszczący się za sprzedaż ziemi chłop Gajda podpalił dwór. Pani Janowa schroniła się do pozostałego folwarku, gdzie w ubogiej chacie z karbowym i jego żoną pędzi dni smutne bez środków i wiadomości od męża. Szuka wreszcie przytułku u jego ciotki, która ją niejednokrotnie wspierała, dzieci zaś pozostawia u karbowego. Anielka rozchorowywa się ciężko, oczekując matki, która umarła. Zabiera ją do siebie w tym stanie baronowa Weiss, o której Jan myślał jeszcze za życia żony i którą nakoniec poślubił. Tu Anielka wyzdrowiała.

Te niezmiernie proste ramy obejmują jeden z najpiękniejszych obrazków pomienionych, jakie posiada galerya naszej literatury. I tu, jak we wszystkich utworach Prusa, główna wartość spoczywa nie w całości obrazu, nie w jego kompozycyi i w postaciach, ale w szczegółach. Niektóre sceny czy to tryskające przedziwnym humorem, czy to oddychające głęboką rzewnością, są nakreślone genijalnie. Przyjaźń Anielki z Karusiem (psem), jego tragiczna podróż za państwem, kiedy opuścili dwór, Szmul i jego karczma, przyjazd Weissowej i zachowanie się jej kamerdynera w chacie karbowego, wszystkie wreszcie przelomy losu moritur'ów, których Prus tylko zlekka swą satyrą podcinał — to pomysły znakomite w wykonaniu mistrzowskiem. Z wielkiego bogactwa rysów charakterystycznych przytoczymy jeden, przekonywający, jak Głowacki umie drobnym znakiem zewnętrznym uwidoczniać nastrój wewnętrzny swych bohaterów. P. Jan, opuszczając swój wyssany i sprzedany niemcom folwark, pragnie zachować pozory dawnego szyku i powiada do fornala.

— „Mój kochany, zdzieraj lepiej cugle, aby konie tak łbów nie zwieszały."

Jeżeli powieść ta ma jakąś tendencyę po za przedmiotowem odtworzeniem życia, to chyba zawartą w tej trafnej uwadze: „Brat szlachcic wynaleziony został przy pełnym kieliszku dobrego wina, ale: „każdy człowiek jest bratem naszym" wynaleziono przy kieliszku goryczy. „Anielka" podaje czytelnikowi oba te kielichy.

Wciskanie się niemców do naszego kraju przez bramy dworskie, a nie przez szpary wieśniacze, często zajmowało myśl i wyobraźnię Prusa. Na fakcie tym wszakże oparł on głównie swoją słynną „Placówkę." Mówimy: słynną, żadna bowiem z jego powieści nie doczekała się tylu (czterech) wydań i tak szerokiej popularności. Zna ją cały ukształcony ogół, zna już po części i lud (w przeróbce „O ojcowiznę"). Zola w *La terre* przedstawił szczerzej i wierniej właściwe chłopom wszystkich krajów europejskich namiętne przywiązanie do ziemi i łakomą żądzę posiadania jej; ale ponieważ on tylko widzi i umie malować *la bête humaine*, prze-

to ukazawszy gdzieindziej, jak „zwierzę ludzkie“ kocha, rozpustuje, zabija, zrywa łańcuchy, a przedewszystkiem wiąże się w trwałe lub zmienne pary, opowiedział tu, jak ono łaknie ziemi. Prus nie jest naturalistą, a natomiast jest nieco socyologiem i z konieczności politykiem, więc i sama kwestya musiała w jego umyśle zabawić się tymi pierwiastkami i przybrać postać mniej psychologiczną, a bardziej społeczną. Pan, znudzony gospodarstwem wraz z żoną, podczas krakowskiego wesela odwołany na chwilę od tańców, sprzedaje folwark kolonistom niemieckim. Ale potrzebują oni, a zwłaszcza jeden z nich nabyć piaszczystą górę dla wybudowania na niej wiatraka. Góra ta należy do chłopa, Ślimaka, który odtrąca najkorzystniejsze z ich strony propozycye i ani kawałka ziemi ustąpić nie chce. Mają oni nadzieję nakłonić go, później zaś złamać prześladowaniami. Chłop jednak, mimo że mu odebrali łąkę, a z nią możność wyżywienia bydła, mimo że mu wsadzili syna do więzienia, mimo że w tej walce zubożał, stracił żonę i dziecko, a nawet chatę, którą mu spalono, nie tylko wytrwał w uporze, ale zmusił niemców do odprzedania ziemi włościanom i przesiedlenia się gdzieindziej. Jak łatwo dostrzedz, ekonomiczna i życiowa podstawa powieści nie wytrzymuje krytyki. Owa bowiem piaskowa górka, jako cel zabiegów ze strony kolonistów, jako powód opuszczenia zagospodarowanych siedzib, jest motywem błachym i sztucznym, pomijając już ten wzgląd, że prawdopodobnie żaden chłop nie broniłby jej z takiem bohaterstwem i chętnie zamieniłby ją na lepszy kawałek pola lub łąki. Ale przy sądzeniu „Placówki“ nie waży nam tyle wybrana przez autora realna forma gruntu bojowego, ile tocząca się na tym gruncie walka. W tym fantastycznym pomyśle wystarczy dla zadowolenia prawdy jego rdzeń wydobyty z życia, które rzeczywiście przedstawia nam w rozmaitych odmianach pochopność panów do sprzedawania i wynarodowiania ziemi, a dziwną siłą chłopów w zachowywaniu jej. Jeżeli więc tylko zgodzimy się na taką postać tego przeciwieństwa, jaką nam daje „Placówka,“ ujrzymy je zarysowane i oświetlone wspaniale. Dwór przedstawiony w niej nieco karykaturalnie (zwłaszcza sprzedaż folwarku podczas tańców), ale za to, oprócz Sienkiewicza w „Szkicach węglem,“ nikt nie zajrzał w duszę polskiego chłopa tak głęboko, nikt z niej nie wydobył takiego zdroju brutalstwem pomąconych, ale zdrowych uczuć, nikt tak nie wypatrzył krytych dróg jego myśli, nikt tak nie poznał dziwnego biegu jego logiki, źródła upodobań i wstrętów, jak Prus. Tego nie osiągnęłoby najdłuższe i najskrupulatniejsze badanie, taką wiedzę posiadać może tylko intuicya wielkiego talentu. A jeżeli nawet chłop ten nie jest jednolity, rozwinięty w charakterze konsekwentnie, to zawsze każdym ze swych znamion łudząco przypomina rzeczywistego. Dla przykładu otwórzmy „Placówkę“ na pierwszej lepszej stronicy. Do Ślimaka przybywa jego kum, który namawia go do kupienia krowy, za którą żąda „trzydzieści pięć rubli papierkami i rubla srebrnego na postronek.“ Nie chce nie ustąpić, bo jest to własność sieroty. Ale przy kolacyi, obficie zalewanej wódką, targ zmienia się: rozczulony Ślimak natarczywie daje więcej, a równie rozczulony kum żąda mniej. Nareszcie obaj legli snem zmorzeni. Nazajutrz pyta żonę, jak zakończyła kupno.

— „Zapłaciłam mu — odpowiada ona. Ale nie chciał wziąć trzydziestu trzech rubli, tylko trzydzieści dwa; bo mówił, że kiedy Chrystus Pan trzydzieści i trzy lata żył na świecie, więc za krowę nie wypada brać tyle.“

Mądra kobieta, wyprawiając męża do dworu, ażeby wydzierżawił łąkę, daje mu taką przestrogę:

— „Naści dziesięć rubli. To panu daj do garści, a resztę odnieś mu jutro. Uważaj zaś, ile ci powie za łąkę i zaraz pocałuj go w rękę, obejmij za nogi i proś, żeby ci choć ze trzy ruble opuścił. Nie odstąpi trzech rubli, to choć wytarguj z rubla; ale póty ich obejmuj, jego i jaśnie panią, aż coś opuszczą.“

Na pozór wydaje się to dziwnem, że powieść tak wiernie przedstawiająca życie ludu, nie budzi (o ile nam wiadomo) w nim zajęcia i nie znajduje chętnych czytelników. Objaw to jednak zrozumiały. Naprzód są w niej pewne rysy zbyt delikatne i dla prostych umysłów niedostrzegalne, a powtóre odbija ona te znamiona charakterystyczne, które *nas* uderzają. Prości czytelnicy „Placówki“ nie mogą pojąć ani racyi, ani ważności moralno-społecznej bohaterskiego oporu Ślimaka, nie rozeznają humorystycznego tętna w jego targu o krowę lub w dziecinnej podejrzliwości przy układach. Jak odmienne i bardzo pochodzeniem oddalone rasy wydają dla siebie pewną woń, której w sobie nie czują, podobnie odległe klasy społeczne rażą się wzajem pewnemi właściwościami, których sami nie widzą. Lud spostrzega śmieszności panów, ale nie spostrzega swoich, a skutkiem tego prawie cały urok „Placówki,“ cały jej artyzm przed nim niknie. Nie jest to więc bynajmniej powieść dla ludu, jak nie są dla niego obrazy Chełmońskiego, Kostrzewskiego lub Witkiewicza, gdyż punkt widzenia autora, a więc i czytelnika, nie jest chłopski. Jeżeli Ślimak, chcąc otworzyć jakieś ujście swemu gniewowi, kopie otrutego psa, lub odpasawszy „rzemień,“ uderza nim syna bez powodu, to dla nas takie przejawy prostego charakteru mogą być ciekawe, ale nie interesują wieśniaka, który wogóle realizmu nie lubi i tkwiąc ustawicznie w kałużach życia, pragnie bodaj myślą wydobyć się z nich i rozejrzeć się po widnokręgu jaśniejszym. Z tej przyczyny nad wszystkie przekłada bajki i bohaterów legendowych.

(D. c. n.).

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Powodzie w Europie. — Walka pod teatrem. — Odsiecz p. K. Zalewskiego. — Źle wybrana pora. — Używki sceniczne.— Czy nam potrzebne.— Ludzie i zwierzęta. — Pożyteczna instytucya. — Pracownia hygieniczna miejska. — Krytyka przemysłu i handlu. — Ścisła rewizya i wolny wstęp. — Popisy cyklistów i wioślarzów. — Gdzie nas nikt nie zdystansuje.

Kawał Europy zalały rzeki, zrządziwszy milionowe szkody i wydarłszy resztki mienia biednym ludziom. Szwajcarya, Niemcy południowe, Tyrol, Czechy pod wodą. Żal nam zwłaszcza biednego, z takim mozołem i skrzętnością zbudowanego mrowiska czeskiego, które nie prędko wyrówna swe olbrzymie straty. Galicya tym razem ocalała, ale kto wie, co ją czeka.

Nasza Wisła zachowała się spokojnie i tak wstrzemięźliwie, że więcej wody przepływa przez kolumny dzienników, niż przez jej wysuszone łożysko. Z nadejściem wszakże chłodów zaczynamy się rozgrzewać. Już w prasie toczy się walka pod teatrem. Kilka pism zaatakowało tę twierdzę, której załoga, ufając swym fosom i murom, nie odpowiadała strzałami, ale z odsieczą przybył jej sojusznik, p. K. Zalewski z *Kuryerem warszawskim*. Oceniwszy przedstawienie „Sprawy Clemenceau,“ powiada on: „Puszczyki i złowróżbne kruki chciałyby w marnem zaślepieniu przepowiedzieć możliwy upadek sceny... Przeciwnie dowodzi ona ciągle, że ma prawo bytu i rozwoju jaknajszersze, które przeciąć można, ale choroby śmiertelnej, a nawet bardzo widocznego osłabienia żaden uczciwy lekarz nie stwierdzi.“ Mogłoby to być słusznem i budzić wiarę w zdrowie naszego teatru (raczej reżyseryi), gdyby jego obrońca dla swego napomnienia wybrał był lepszą porę. Ale on skarcił „puszczyki i złowróżbne kruki,“ utyskujące na lichotę i bezmyślność repertuaru akurat po wystawieniu „Sprawy Clemenceau.“ Bo i czemże jest według niego ta sztuka? „Jest dziełem brudnem, niezawodnie przypominającem życie z jego stron najwstrętniejszych“; w dodatku „nie ma ten dramat ani setnej części tych przymiotów faktury, ani drobiazgowej psychologii w rzeźbieniu szczegółów akcyi, ani owej jedności stylu, jaką ma powieść lub inne utwory Dumasa.“ To też „w Paryżu upadł sromotnie, bo nie dociągnął nawet czterdziestu przedstawień.“ Ażeby dać miarę odrazy, jaką ta sztuka budzi w krytyku, dość powiedzieć, że woła on uniesiony do najczystszego jej bohatera: „Twoje małżeństwo i całe pożycie z żoną — to było mięso drugiego mięsa żądne, i nic dziwnego, że wyrobione przez ciebie zwierzę poszło się tuczyć przeklętym chlebem nierządu, gdy twój mu nie wystarczał lub nie był dość smaczny. *Bydlę jesteś*, panie Piotrze Clemenceau.“ Czy do takiego wyroku o ostatnim dowodzie rozumu i gustu reżyseryi można przyczepić wyrzut dla „puszczyków i złowróżbnych kruków,“ oraz „zaznaczyć żywotność sceny“? P. Zalewski to zrobił, ale niepotrzebnie. Bo zdawałoby się, że on właśnie winienby pochwycić największy kamień i cisnąć go na reżyseryę za „Sprawę Clemenceau.“

Nie rozbieram tego nowego protokółu sekcyi genitaliów, bo od 20 lat powtarzam z dobrym namysłem, że Dumas jest fabrykantem fałszywych klejnotów sztuki, że jest umysłem idyotycznie ograniczonym, że jego wszystkie „tezy,“ „kwestye“ oraz ich rozwiązania nie warte są funta kłaków, że on zapomina o istnieniu u ludzi mózgu, serca, płuc, rąk i tylko pamięta o istnieniu narządów rozrodczych, że jest to filozof, któremu świat przedstawia się jako wielkie tokowisko. Prostytutka mniej myśli o swoim zawodzie, niż on. Nie o niego wszakże mi chodzi, ale o nas. Rozumiem, że tacy Dumasi są nietylko naturalni, ale nawet potrzebni we Francyi. Naród, który już nie może mieć pożądanej ilości dzieci i chce ich brak wyrównać naturalizowaniem cudzoziemców (Leroy-Beaulieu), który wygasa i zamiera, który jest niedołężnym starcem lub wyniszczonym rozpustnikiem, naród taki musi naśladować starców i rozpustników, to jest mówić o tem, patrzeć na to i słuchać tego, czego robić nie może, musi łaknąć podrażnień i galwanizowania osłabionej namiętności. Scena i powieść są dla niego rodzajem narkotyków, podniecających używek, pornograficznych bodźców. Ale na co nam to wszystko? My bez dramatów, komedyi i romansów francuskich możemy jeszcze mieć tyle dzieci, ile nam potrzeba, my jesteśmy narodem zdrowym, niezniszczonym, po co więc tak chciwie spożywamy drażniące leki francuskie? Kiedy widzę nasze konsylia krytyczne, rozprawiające o tem, czy kombinacya z dwóch mężczyzn i jednej kobiety lub z dwu kobiet i jednego mężczyzny jest naturalną, czy nie, albo czy jakaś margrabina powinna pójść na schadzkę, czy powstrzymać się, albo czy jakiś samiec ludzki miał prawo zamordować samicę, czy nie miał, zdaje mi się, że jest to narada lekarzów od „sekretnej niemocy.“ Nic przeczę, wszystkie te wypadki zdarzają się i u nas, ależ do licha nie stanowią one głównej osi życia, na której obracają się wszystkie jego koła. Jeśli zaś ma to być miłość, owa dawna prządka, którą ludzkość w swych utworach artystycznych snuje od czasu, jak istnieje i której nigdy snuć nie przestanie, to niechże ona będzie splotem tych podniosłych uczuć, w jakie przerodziła się w równoległym rozwoju z innymi czynnikami cywilizacyi, a nie wybuchem i walką dzikich lub zgniłych instynktów. Miłość Dumasów nie goreje wiel-

kim płomieniem serc Shakespeare'a lub Schillera, ale tli się, dymi, swędzi i dopiero wtedy sprowadza szały, gdy jak wiązka zapalonego chróstu zostanie przywiązana na łbie rozwścieklonego zwierzęcia. Zachodzi tedy pytanie: czy narkotyki sceny francuskiej, przeniesione na naszą, nie wywołują objawów chorobliwych, nie wytwarzają zwyrodnień uczuciowych, czy nie rozstrajają naszego zdrowia? „Bydlę jesteś!“ — woła do Piotra Clemenceau p. K. Zalewski; ależ takich, a nawet gorszych bydląt jest co najmniej para w każdej sztuce francuskiej. Czemuż więc nie występujemy zasadniczo przeciw tej oborze i widowisku stada jałówek, krów i byków? A może my również jesteśmy społeczeństwem „zblazowanem“? Trudno domysłem rozstrzygać stanowczo, ale jeżeli sale wystawy skandalów francuskich na scenie naszej po kilku wieczorach bywają znacznie opróżnione, jeżeli ciekawość widzów wystarcza zaledwie na kilkakrotne zapełnienie ich, to świadczy, że nasz ogół jest za zbyt zdrów, ażeby się podniecał takiemi używkami, że w nim istnieje tylko pewien zastęp istot uczuciowo zużytych i wyczerpanych, spieszących na pierwsze przedstawienia i podtrzymujących obecny nastrój teatru. Dla nich on głównie istnieje, o nich pamięta, im też swój upadek zawdzięcza. Rzec można, że ludzie myślący, ludzie z niezakażonemi uczuciami, ludzie szukający wielkich natchnień i wielkich charakterów, nie mają u nas teatru; mają go tylko ci, którzy zdrobnili wszystko, co świat posiada, do rozmiarów pyłu i oddychają tym kurzem.

Te szychy rozwieszone nad upodleniem ludzkiem, te ubarwione promieniami słońca wypary zgnilizny życia tak zasłoniły nam prawdziwą niedolę, jak gdyby ona nie istniała i nie była olbrzymią górą, rzucającą swój ponury cień wokoło. Do pewnego też stopnia sprawozdawca sąsiedniej rubryki ma słuszność, twierdząc, że nasze pisma więcej objawiają dbałości o zwierzęta, niż ludzi. Ale z drugiej strony społeczeństwo nie może numerować przedmiotów swego wspułczucia i objawiać go w perządku kolejnym; innemi słowy: męczeństwo ludzkie nie powinno usuwać nam z przed oczu zwierzęcego. A to ostatnie, zwykle połączone z nizkim stanem kultury, bywa u nas rzeczywiście okropnem. Kto miał sposobność oglądania zagranicą serdecznych stosunków człowieka ze zwierzętami, które dla niego pracują, ten musi ciągle odwracać oczy od dzikiego pastwienia się nad niemi u nas. Zwłaszcza na skórze koni wypisane jest nasze uobyczajenie. Naturalnie słabem wędzidłem i tylko wędzidłem dla takiego okrucieństwa jest dozór, ale je uśmierza. Otóż z przyjemnością zaznaczyć wypada, że nasze Towarzystwo opieki nad zwierzętami, dawniej senne i obojętne, od pewnego czasu okazuje żywą działalność i energię. Jaki dobry duch w nie wstąpił — nie wiemy, ale go widzimy w wyraźnych objawach. Pomnaża ono zastęp swych członków, rozszerza zakres swych obowiązków i zadań, wprowadza swoje wpływy, gdzie może i osiąga coraz większą sumę pomyślnych rezultatów. Życzymy mu najszczęśliwszego rozwoju, zarówno w interesie zwierząt, jak ludzi. Opowiadają, że ryba smażona żywą truje człowieka swem przedśmiertnem cierpieniem. Podobnie wszelki tyran nietylko sprawia boleści swej ofierze, ale zakaża niemi swój charakter. Woźnica, katujący niemiłosiernie swoje konie a handlarz bydło, tem znęcaniem się rozbestwiają swoją naturę; opieka przeto nad zwierzętami jest poniekąd opieką nad ludźmi, kształceniem ich charakteru a przynajmniej ubezpieczeniem go od rozrostu złych popędów. Jest to jeden ze środków pedagogiki społecznej, która składa się z mnóstwa drobnych czynników, często niedostrzegalnych w swem działaniu, a jednakże wywierających poważne skutki. Nie lekceważmy go, ani tej instytucyi, która nimi działa.

Rozwija swą działalność także młoda pracownia hygieniczna miejska, która obiecuje nam — jak głoszą dzienniki — oznajmić rezultat badań nad wodami gazowemi, wyrabianemi w Warszawie. Będzie to sprawozdanie niewątpliwie ciekawe i pouczające, ale oddając tej instytucyi i jej pracom szczegółowym, co jej się należy, przyznać musimy, że ona ani potrzebom naszym, ani zadaniom swoim nie odpowiada. Bo jakże jednym i drugim podołać może dwu ludzi, chociażby najgorliwszych i najzdolniejszych, w mieście z półmilionową ludnością? Wobec olbrzymiej masy produktów wymagających kontroli, wobec również wielkiej masy fałszerstw, wymagających pospiesznego zatamowania ich, czemże jest ten maleńki probierz naukowo-hygieniczny, ta garstka analiz, których pracownia zdąży dokonać? Tu należałoby postawić nie kilku, ale kilkunastu specyalistów. Czem ich opłacić? Nie lekceważę tego pytania, ale przecież stanęło ono przed zarządami wielu miast zagranicznych, które znalazły na nie praktyczną odpowiedź.

Nadto pracownia taka winna albo wydawać stałe sprawozdania publiczne, albo też posiadać w prasie własny organ. Wyniki bowiem jej śledztw naukowych nie mają jedynie znaczenia teoretycznego, lecz w wysokim stopniu obchodzą ogół. Nie tylko Bujwid i jego pomocnicy powinni wiedzieć, jaki produkt jest dobry, a jaki zafałszowany, ale również i wszyscy spożywcy.

Rzecz dziwna, skoro w teatrze ukaże się najgłupsza farsa, natychmiast kilkudziesięciu krytyków szczegółowo ją sądzi i donosi swym czytelnikom o jej wartości. Ale gdy na rynku wielkiego miasta ukaże się najszkodliwszy towar, który zniszczyć może zdrowie tysiącom ludzi, nikt go nie zbada, nikt publiczności nie ostrzeże i dopiero trzeba czekać przypadku, ażeby oszustwo lub nadużycie zostało wykryte. Dlaczego sztuka i nauka mają posiadać swoją nieustającą krytykę, a przemysł i handel — nie? Dlaczego książka wchodzi w obieg po starannej rewizyi, a chleb, mleko lub sukno nie podlegają żadnej systematycznej kontroli? Tymczasem jeżeli wydrukuję nieudolne rymy, mniej zaszkodzę ich nabywcom, niż sprzedając im śmietanę, zaprawioną wapnem. Na nieszczęście prasa płynie ciągle między dwiema skałami, które jej grożą niebezpieczeństwem: jeśli jakiś towar zgani, wywoła burzę, jeśli pochwali, ściągnie zarzut, że przemyca do swego tekstu płatne reklamy. Jedna tylko pani Ćwierciakiewiczowa — nie wchodzę tu w słuszność jej sądów — ma odwagę potępiać lub zachwalać w *Bluszczu* koronki, materye, kapelusze, suknie, magazyny, restauracye itd., a wyrokuje z taką stanowczością, na jaką nie zdobyłoby się wielu krytyków artystycznych lub naukowych. Gdyby w dziedzinie przemysłowej można było wytworzyć bezstronną i gruntowną krytykę, oddałaby ona nam nieocenione usługi. Bo jak gra p. Grünfeld z Wiednia, to daleko mniej ważne, niż jakie skóry wyrabia w Warszawie Temler lub Pfeiffer, a jakie piwo Jung lub Machleid.

„Dzielni“ i „sprężyści“ odbyli swoje coroczne popisy, przyczem jedni z uczestników przypłynęli lub przyjechali wprzód do mety a drudzy później. Oprócz tego zwykłego w takich razach wyniku zauważyć jeszcze można, że cykliści wykazali podczas tegorocznych wyścigów znaczny postęp w swej sztuce a jak utrzymuje dr. Neugebauer, autor broszury o wpływie sportu kołowego na zdrowie — i w sile mięśniowej. Przynajmniej po tej drodze spieszymy się i na rowerach lub bicyklach dościgamy zagranicę. Za to stanowczo wyprzedzamy ją w wioślarstwie... zimowem. Tu nas nikt nie zdynstansuje. Proszę poczekać do karnawału.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Kwestyonaryusz pruski w sprawie robotników, napływających z Królestwa Polskiego.—Co najlepiej charakteryzuje gospodarkę indywidualistyczną? — Rachuby ziemiańskie. — Altruizm na manowcach. — Społeczeństwo bawole a ludzkie. — Jeszcze o emigracyi brazylijskiej z Łodzi. — Idea walki klasowej w *Gazecie radomskiej*.

Bismark, wydalając z granic państwa pruskiego w rozdrażnieniu starczem robotników, miał tylko na względzie krajowe cele polityczne, tymczasem, jak wiadomo, wkrótce po spełnionym akcie banicyi właśni współklasowcy kanclerza — wielcy i średni posiadacze ziemscy — musieli syknąć z bólu właściwego kapitalistom, którym zabraknie rąk roboczych. Administracyjny kij zaciekłego wyganiacza okazał się dwukończowym: dostali dotkliwe cięgi domniemani wrogowie państwa, ale też nie uniknęli ich i zbieracze renty gruntowej. Teraz, po kulturalno-politycznem *vorwärts*, przyszła kolej na gospodarcze *rückwärts!* Cofanie się jednak obiecuje być ostrożnem i systematycznem — z latarnią statystyki w ręku. Przesłano więc władzom pruskim w pogranicznych prowincyach wschodnich kwestyonaryusz, który ma wyjaśnić następujące stosunki:

1) Czy robotnicy i robotnice pochodzenia rusko-polskiego proponują swe usługi dobrowolnie, czy też przywożą ich rozmaici dostawcy?

2) Czy uprawa buraków wpływa silnie na wzrost napływu tych robotników i robotnic, lub przynajmniej o tyle, że odnośne roboty biorą na siebie dostawcy, posiadający swój własny personel tak, iż zajęci przy sadzeniu i zbiorze buraków najmici nie znajdują się w żadnych stosunkach służbowych względem właściciela ziemskiego?..

3) Czy istniejące przepisy, dotyczące deklaracyi co do przyjęcia na robotę i kontroli — są dostateczne do przeciwdziałania napływowi żywiołów polskich?

4) Czy były takie wypadki, że robotnicy polskiego pochodzenia, którzy przybyli w granice Prus, wrócili po ukończeniu robót do domu, lecz przeciwnie, na długo osiedlili się w kraju, nie starając się przytem otrzymać prawa poddaństwa pruskiego?

5) Czy zdarza się, że przybyli do Prus robotnicy polscy zmieniają podczas swego pobytu w Prusach i przed powrotem do domu miejsce swego zarobku. Następnie, czy zachowują oni dokładnie w podobnych wypadkach istniejące przepisy policyjne, dotyczące zawiadamiania o porzuceniu jednego miejsca zarobku i przejścia na drugie?

6) Czy bywały wypadki, że synowie robotników wędrownych z Królestwa Polskiego, pozostałych w granicach Prus bez przyjęcia poddaństwa, zapisywani byli przez omyłkę do wykazów wojskowych, a nawet pociągani potem do pełnienia powinności wojskowej?

7) Jakie przyczyny i okoliczności wywołują napływ robotników polskich i współdziałają jemu?

Od rozstrzygnięcia więc przez władze pruskie tego „siedmiokrotnego czy“ — zależeć będą dalsze losy naszego „wolnego najmity“...

Nic może lepiej nie charakteryzuje istoty dzisiejszej organizacyi gospodarczej i instynktów ludzi, podpierających ją swojemi plecami, jak rokrocznie po żniwach powtarzane rachuby ziemian. Żeby wynik tych rachub mógł rozpromienić twarze wytwórców zboża na potrzeby rynku powszechnego, niezbędne są po ich stronie liczby dodatnie, po stronie zaś pozostałego świata — ujemne. Dopiero pół-klęska, a lepiej jeszcze — cała, którąby dotykała rolnika niemca, francuza, yanke'go, indusa, persa: są obfitem źródłem szczęścia rolnika nadwiślańskiego, no, i odwrotnie.

Rolnik i Hodowca, a z nim jego zwolennicy, tak rozumują: „Ukończone już żniwa w bardzo pomyślnych warunkach przekonały, że urodzaj jest dobry. Co do widoku cen, zdają się one być pomyślne.“ Na czem polega ta pomyślność? Na zwyżce cen, skutkiem „wyjątkowo niskich zapasów zeszłorocznych“ — to najgłówniejsza. Dalej na całym szeregu niedoborów w tegorocznej produkcyi rolnej krajów współzawodniczych. Wogóle na podstawie „obliczeń szczegółowych“ zbiory pszenicy na całym świecie będą o 10,770,000 kwarterów niższe od potrzeb konsumacyi. W tem miejscu — oddajmy interesowanym sprawiedliwość — serce uderzyło im na chwilę tętnem uczucia ogólnoludzkiego i taki wielki niedobór, sam przez się niewinny, łącznie z bardzo małymi zapasami zeszłorocznymi — wydał się zastraszającym. Złożyły się nań poszczególne nieurodzaje. Ogólny zbiór pszenicy przyniósł w Indjach w r. b. 6,303,900 ton, wobec 6,762,000 w ostatnim roku, a 7,456,300 przeciętnie w ostatnich pięciu latach. Wywóz pszenicy z portów indyjskich wyniosł w ostatnim tygodniu 81,000 kwr. wobec 96,000 kwr. w tymże tygodniu r. z. Zbiory pszenic w Ameryce są niepomyślne. Tegoroczny zbiór jej jest o 70 milionów buszli mniejszy od zeszłorocznego. I dowozy są mniejsze, w ostatnim tygodniu przywieziono na niektóre najgłówniejsze targi 225,000 ker. pszenicy, wobec 275,000 w r. z., a 328,750 — w 1888. W Austro-Węgrzech deszcze wpłynęły źle na jakość ziarna, skutkiem czego próby pszenicy węgierskiej, zjawiającej się zwykle na rynkach europejskich najpierwej, są „nie bardzo piękne.“ Francya, ponieważ spodziewać się może o 10—12% mniejszych zbiorów od zwykłych średnich, będzie musiała wwieźć do siebie z zagranicy 12—15 milionów hektolitrów. Tylko Niemcy i Anglia niecnota mają „widoki na rezultat zbiorów pomyślne.“ To jednak nie przeszkadza, iż „handlarze zboża i młynarze krajów zachodniej Europy zwracają dziś największej uwagi na zbiory Rosyi.“ Ponieważ zaś powszechne panuje przekonanie, że zbiory te będą lepsze, niż w r. 1889, są więc szanse pomyślności.

Tak *Rolnik i Hodowca* cieszy siebie i innych.

W Kaliszu stał się wypadek, któremu *Kaliszanin* poświęcił cały artykuł. W miejscowym szlachtuzie dwóch czeladników rzeźniczych wrzuciło do kotła z ukropem — niedobitego wieprza. „Nieszczęsne zwierzę — powiada reporter — ocucone bólem, miotało się po kotle tak silnie, że wyrzuciło masy waru, zanim żywcem zostało ugotowane.“ Czyn zaiste barbarzyński i zasługuje na skarcenie. To też, dwaj ci „szakale“ zostali pod sąd oddani.

Postawa, jaką prasa a z nią i publiczność przybierają wobec cierpień katowanych zwierząt — z punktu psychologicznego sama się przez się wyjaśnia (wynika z sympatyi), za to pod względem społeczno-etycznym wymaga pewnych uwag. Ten nierównomierny wylew litości w kierunku zwierzęcia dręczonego a człowieka wyzyskiwanego przez człowieka, jest wysoce znamiennym rysem naszego czasu. W społeczeństwie zwierzęcem byłoby anomalją taka wybujałość atruizmu w stronę obcogatunkowców. Gdyby jakie zbiorowisko zwierzęce, np. słoni, bawołów lub antylop mogło kiedykolwiek uorganizować się na wzór społeczeństwa ludzkiego, to posiadając nawet kapitalistów i robotników, stanowczo musiałoby różnić się pod jednym względem, mianowicie, dawałoby pierwszeństwo takim instytucyom, któreby przedewszystkiem osłaniały od cierpień osobniki ich własnego gatunku, a dopiero potem pomyślałoby o opiece nad istotami innego, ujarzmionenі przez nie. Bawół, mając do wyboru między rykiem okaleczonego i zgłodniałego bawołu a wyciem, jeśli to możliwe, wilka roboczego lub kwiczeniem świni ujarzmionej, z pewnością prędzej by odryknął współczuciem dla jednogatunkowca, niż by odkwiknął obcogatunkowej maciorze. Ten ostatni akt litości spełniłby później, załatwiwszy się wprzód ze zbolałym towarzyszem. Taki zaś pomiędzy nimi, któryby, odwracając naturalny porządek rzeczy, objawił większą czułość na wycie wilka i kwik świni, niż ryk bawoli, byłby prawdopodobnie uznany za niedorośle społeczne, za okaz zwyrodniały.

Rzeczywistość jednak jest nielitościwą, bo fundament przemysłu łódzkiego — najmici, zamiast być nieruchomymi, jak skała, a cierpliwymi w swej roli armii zapasowej, jak fakirzy indyjscy, dowiedli, że są piaskiem lotnym i luźnym w tej postaci, polecіwszy się opiece agentów-szachrajów, „wysypują się“ z kraju za morze, pomimo nawoływań błagalnych i gniewnych, nawet pomimo najdotkliwszych przeszkód — utrudnień paszportowych. Fabrykanci łamią ręce, nie mogąc tego potoku zatrzymać, gdy tymczasem nigdy bardziej, jak wobec chwilowego ożywienia w przemyśle, wobec obstalunków, poczynionych przez kupców dalekich — potok ten nie przydałby się na koła ich młynów — warsztatów. Czynią co mogą. Podobno nawet kilku fabrykantów podwyższyło płace tygodniowe o 2 ruble, chcąc tem odciągnąć robotników od emigracyi. Liczbę najmitów, uniesionych falą wychodźczą, obliczają domorośli statystycy, sposobem domowym, już na *pięć tysięcy*. A tymczasem ruch towarowy na drodze fabryczno-łódzkiej od zimy powiększył się w trójnasób. „Z górą dziesięć wagonów odchodzi i około stu przychodzi niemal codziennie. Znacznymi zakupami kupców ruskich opróżnione składy fabryczne starają się fabrykanci zapełnić gorączkową i forsowną produkcyą nowych zapasów, na które już nowi czekają nabywcy. I wobec tego wzmożenia się ruchu przemysłowego, kilka tysięcy ludzi opuszcza miasto. Nie dziw więc, że panowie fabrykanci drżą ze strachu i szukają różnych sposobów, aby ruch emigracyjny powstrzymać.“ Tak pisze p. A. G., nowy korespondent łódzki *Gazety radomskiej*, która, nawiasem mówiąc, nabrała więcej życia i rumieńca zdrowia pod wpływem jego pióra. Jest to pióro odważne i niewahające się dotykać stosunku fabrykantów łódzkich do robotników, czego znów, niestety, nie można powiedzieć o *Dzienniku*. Oto np. w jaki sposób p. A. G. ciska słowa prawdy kierownikom produkcyi łódzkiej:

„Fakt gorączkowej emigracyi świadczy wybornie o opłakanym stanie ludności robotniczej w Łodzi, o tej nędzy i zrozpaczeniu — i o humanizmie panów *erów* i *mannów*. Kilka miesięcy temu 4,000 robotników, wydalonych z rozmaitych fabryk, włóczyło się po Łodzi od domu do domu po żebraninie; trzy razy taka ilość jęczała pod naciskiem ostatniej nędzy, mając zmniejszoną płacę o połowę. Po spaleniu się jednej części fabryki przed Wielkanocą, p. J. K. Poznański, w kilka dni po pożarze i uspokojeniu się wzburzonych umysłów, wywiesił przed fabryką kartę, zawiadamiającą o zmniejszeniu płacy o 40% zgórą i propozycyą niezadowolonym szukać gdzieindziej zarobku, pod warunkiem jednak natychmiastowego opuszczenia mieszkania w domu familijnym. Toż samo uczynili: właściciel wyrobów kaszmirowych p. Rosenthal, ogromna fabryka w Pabjanicach Kruscha i Eudera, i wiele innych, a prawie większa połowa zmniejszyła liczbę godzin pracy. Takie piękne fakty — ciągnie dalej p. A. G. — zdarzają się rokrocznie w pewnych miesiącach i biedny robotnik pod naciskiem nędzy i obawy utraty zarobku — przyjmuje wszelkie warunki. Wobec tego trudno nie usprawiedliwić szału, jaki opanował umysły biedaków na wieść o lepszej doli za górami. Chwilowe podwyższenie płacy, jakie miało miejsce ostatnimi dniami, nie może powstrzymać i zapobiedz emigracyi, gdyż robotnicy wiedzą o tem dobrze że za lada zmienieniem się okoliczności, ciż sami fabrykanci cofną ową podwyżkę, sprowadzą płacę do dawnej normy, a nawet przy większym napływie ludności do Łodzi, zmniejszą do minimum. Nie dają się więc robotnicy łudzić podwyższeniem płacy, bo doświadczenie nauczyło ich poznawać lisy i wspaniałomyślność fabrykantów.“

Taką podaje p. A. G. przyczynę trudnej do zatamowania emigracyi brazylijskiej. I niepodobna mu odmówić słuszności. My ze swej strony powinniśmy go oklaskać za to, iż oceniając robotniczy ruch wychodźczy, zajął stanowisko antagonizmów klasowych. Pan A. G. wyraźnie zamierzył cały szereg listów o Łodzi i nieraz jeszcze na tem miejscu wypadnie nam podnieść jego zdania i przytoczyć fakty przeczeń zebrane. Tych ostatnich radzibyśmy jaknajwięcej spotkać w jego artykułach. Teraz zaś nie możemy się wstrzymać od przytoczenia jeszcze jednego ustępu z jego pracy, niezmiernie znamiennego: „Proletaryat fabryczny stanowią niemcy i polacy, z przewagą liczebną po stronie pierwszych. Łączności pomiędzy dwiema narodowościami, pomimo tak wielkiej wspólności interesów, niema żadnej. Omyliłby się jednak, ktoby sądził, że w łonie każdej z tych narodowości kwitnie *klasowa solidarność*. Prawie zupełny brak *świadomości klasowej* nie pozwala zejść się na gruncie wspólnych interesów i połączyć się węzłami solidarności dla *przeciwdziałania nadużyciom i wyzyskowi*. To też poważniejsze protesty masowe są w Łodzi białymi krukami, mimo wielkiego naprężenia stosunków między fabrykantem i robotnikiem i bardzo często krzyczących nadużyć panów *erów* i *mannów*. Zadośćuczynienie otrzymuje tutaj nie logiczny i sprawiedliwy protest zbiorowy, ale osobista zemsta, w formie napadów i morderstw.“ Nic do tego dodać nie mamy od siebie, raczej chętnie strąciłibyśmy z oczu pana A. G. resztkę łuski uprzedzeń plemiennych, które mu każą wierzyć, że tylko *ery* i *manny* zdolni są do „krzyczących nadużyć“ wyzysku.

Z. Atanazy.

TORTURY W KULPARKOWIE.

Pod Lwowem, w Galicyi, istnieje zakład dla chorych umysłowo, który od pewnego czasu coraz bardziej rozszerza swą... niesławę. Nietylko bowiem jest zaniedbany pod względem leczniczym, ale nadto panuje w nim jeszcze duch owych czasów, kiedy to obłąkani uważani byli za potępieńców, opętanych przez złego ducha i męczeni jak zbrodniarze. Okrucieństwo to wszakże w tym szpitalu nie wynika z przesądnej wiary, ale raczej z niedbalstwa, które dozorcom, ludziom prostym, często srogim, pozostawia swobodę w teroryzowaniu chorych. Przed paru laty zmarł w tej katowni hr. Dieduszycki, któremu służba połamała żebra; obecnie ujawniono męczeństwo porucznika Zakrzewskiego, spokojnego maniaka (pisującego listy do osób wysoko położonych), formalnie wziętego na tortury. Zanim nasz korespondent przedstawi tę sprawę, przytoczymy kilka szczegółów za *Kuryerem warszawskim*, poczerpniętych z *Dziennika polskiego*, który za nieszczęśliwym się ujął.

„Oddany do zakładu kulparkowskiego, błagał przez 4 miesiące tamtejszych lekarzy, aby stan jego dokładnie zbadali i aby jakąś rzeczywistą przedsięwzięli kuracyę. Niestety, nadaremnie. Kiedy oburzony tem, powiedział im (dnia 30-go czerwca) gorzką prawdę, skazano go na cztery dni więzienia „w ciemnej i smrodliwej seperatce.“

Dnia 4 lipca dyrektor i prymaryusz zakładu, dr. Neisser, naigrawając się z nieszczęśliwego, zapytał go:

— No, cóż, czy się wyspałeś?

Zakrzewski pozostawił urąganie bez odpowiedzi, za co przywiązano go przemocą do łóżka, a następnie oddano na t. zw. „szałówkę“ (oddział furyatów).

Nic dziwnego, że po takiej procedurze dnia 5 lipca wypoliczkował Neissera. Awantura miała ten skutek, iż Zakrzewski przeniesiouy został do oddziału padaczkowego (?!). W chwilę po ulokowaniu przybył Neisser, kazał go obnażyć i przytrzymać w pozycyi, jak do wymierzenia chłosty i wstrzyknął w okolicę ciała, do tego celu zresztą nieużywaną, jakieś lekarstwo.

Następnie kazał go związać w mokre prześcieradła i koce, wreszcie zaś przyłożył mu na 30 minut synapizm wielkości talerza na plecy i szyję, a po odjęciu przytknął go na chwil kilka do ust, przyczem nie omieszkał znowu złożyć dowodu swego dowcipu, pytając:

— No, jakże ci smakuje?

Na miejscu przez synapizm spalonem utworzyły się oczywiście rany i dopiero po trzech tygodniach odpadł cały płat skóry. Co w całym opisanym epizodzie najdziwniejsze, to że owa procedura przeprowadzona została nie dla celów leczniczych, lecz za karę.

Na drugi dzień zawinięto Zakrzewskiego znowu w koce, zamknięto do seperatki, a potem odesłano na oddział padaczkowy. Naturalnie nie szczędzono mu rozlicznych innych przykrości. Mimo że był ulokowany w klasie I, gdzie opłata miesięczna wynosi 90 złr., podawano mu jedzenie tak dalece bez żadnych przyborów, że przy spożywaniu mięsa palcami musiał się posługiwać. Tytoń mu odjęto, a listy, które pisywał do krewnych, nie wychodziły po za obręb zakładu.

Z końcem lipca przeniesiony został z oddziału padaczkowego znowu na „szałówkę,“ gdzie też dotąd pozostaje. Nieszczęśliwy pragnął szukać ulgł przynajmniej w pociechach religijnych; i to jednak wzbronione mu było, gdyż księża kapelani: ks. Piotrowski i ks. Panasiński, wcale nie pokazują się w zakładzie, poruczonym ich duchownej pieczy.

Gdy przed kilku dniami odwiedził Zakrzewskiego p. M., brat jego przyrodni, nieszczęśliwy ze łzami w oczach opowiedział mu o wszystkiem i tak sprawa wyszła na jaw. Na telegraficzne wezwanie przybył rodzony brat „waryata,“ p. Antoni Zakrzewski, właściciel dóbr i podjęto akcyę dla oswobodzenia ofiary. Generał-lekarz sztabowy, dr. Hlawacz, wystąpił w obronie Zakrzewskiego imieniem wojskowości i wniósł raport do władzy przełożonej i zażądał, aby Zakrzewskiego oddano do prywatnego zakładu psychiatrycznego dla sprawdzenia, czy on w istocie podlega furyi.

Cóż na to wydział krajowy? Wysłał do Kulparkowa komisyę, złożoną z pp.: dr. Hoszarda, dr. Stelli-Sawickiego, dr. Wernickiego i dr. Edwarda Sawickiego. Panowie ci przesłuchali dr. Neissera i resztę zarządu, a więc tylko jedną stronę; oczywista, że znaleźli wszystko w „porządku.“ Rzecz inna jednak, czy do ich zdania przychyli się także prokurator państwa, który śledztwo już wytoczył.“

KRONIKA.

Nowa kuchnia tania.

Otwarta niedawno przy ulicy Czerniakowskiej kuchnia tania dla robotników, zaczyna u nich cieszyć się powodzeniem. Liczba stołowników powoli wzrasta. W pierwszym dniu otwarcia miała dochodu 16 rs., w drugim 18, w trzecim 19, ale w następnych dniach za to zmalały one do 12 i 13, potem znów podskoczyły do 33 i o godzinie 12½ wszystkie zapasy kuchni zostały zakupione i zjedzone. Przyczyna tych wahań prosta. Dnie, w których dochody kuchni zmalały, należały do ostatnich przed wypłatą zarobków, dzień zaś, w którym one poszły w górę, był dniem „fircentagu“ (dwutygodniowej wypłaty). W imię dobra tak kuchni, jak robotników, ktoś zagrzewał fabrykantów, żeby ułatwili wydawanie swoim stołownikom strawy w każdym czasie. Szło o to, żeby robotnik fabryczny lub warsztatowy mógł otrzymywać od pracodawcy na rachunek zarobku bilety do taniej kuchni. Bilety te, czyli marki, fabrykanci dostawaliby od kuchni, a potem, przy obrachunkach z nią dwutygodniowych, zwracaliby jej należność, lub jeszcze lepiej, ze względn na szczupłe fundusze młodocianej jadłodajni, marki te zgóry kupowaliby od niej. Obecnie zaś od samych robotników wyszedł projekt, żeby kuchnia dawała im jadło na kredyt. Zarząd propozycyę przyjął i natychmiast urzeczywistnił, rozesławszy stosowne odezwy do fabrykantów. „Warszawska fabryka machin i narzędzi fabrycznych“ oraz fabryka K. Rudzkiego i Sp. odpowiedziały zażądaniem półtora tysiąca marek, wniósłszy za nie należność. Teraz pozostaje innym jeszcze pp. fabrykantom pójść za tym chwalebnym przykładem.

Sprawy szkolne. Ministeryum zatwierdziło projekt utworzenia specyalnych sal gimnastycznych przy gimnazyach męzkich w Królestwie Polskiem. Gimnazyum radomskie pierwsze otrzyma taką salę. Kasa państwa wyasygnowała już 19,300 rs. dla wzniesienia na ten cel oddzielnego pawilonu.

— Napływ kandydatów do Instytutu inżynierów i Technologicznego w Petersburgu był w r. b. większy, niż w zeszłym. Do pierwszego z nich zgłosiło się 580, do drugiego przeszło 600. Ale w instytucie inżenierów było miejsc wolnych 50, a w technologicznym — 100, przeto, rozumie się, wybranych było mniej, niż powołanych. Nawet z kandydatów, którzy ukończyli gimnazyum ze złotymi medalami i mieli tem samem największe szanse przyjęcia, nie dostąpiło tego szczęścia 3 na ogólną ich liczbę 53.

— Rektor uniwersytetu warszawskiego, p. Ławrowskij, objąć ma obowiązki kuratora okręgu naukowego w Dorpacie.

— Następcą d-ra Bobrzyńskiego, mianowanego wiceprezesem Rady Szkolnej, na stanowisku profesora wszechnicy Jagielońskiej będzie dr. Franciszek Piekosiński, historyk i kodyfikator wydziału krajowego.

— Postanowiono, jak zapewniają *St.-Peterb. wied.*, ażeby szkoły przy fabrykach i zakładach przemysłowych utrzymywane były wspólnym kosztem kilku, leżących obok siebie fabryk. Szkoły te mają się składać z dwóch oddziałów: ogólno-wychowawczego z programem elementarnych i specyalnego, w którym wykładane będą wiadomości techniczne, niezbędne robotnikowi.

— D-r Władysław Pilat, docent ekonomii politycznej w uniwersytecie jagiellońskim, powołany został na to samo stanowisko do wszechnicy lwowskiej.

Przemysł i handel. Już od nadchodzącej jesieni rozwieszane mają być po wsiach i osadach na miejscach widocznych podczas jarmarków, na rynkach i zarządach gminnych wiadomości o cenach na produkty zbożowe, o koszcie frachtów, wysokości składek ongiowych itd. Wiadomości te będą otrzymywane codziennie: z Rygi, Rewla, Libawy, Petersburga, Rybińska, Warszawy, Saratowa, Samary, Sebastopola, Odesy, Londynu, Chicago, Amsterdamu i New-Yorku.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż czasowy komitet, zajmujący się sprawą uregulowania przewozu węgla kamiennego, ma być pozostawiony do 13 stycznia 1892 r. Sprawa ta widocznie wymaga wielkich trudów...

— W *Zbiorze praw* zamieszczono ustawę towarzystwa akcyjnego, majacego zaprowadzić tramwaje w Mińsku litewskim. Kapitał zakładowy towarzystwa wynosi milion rubli, podzielonych 10,000 akcyj sturublowych.

— Od 15 września (st. st.) ustaje tranzytowy przewóz towarów ruskich po kolejach zagranicznych przez komory Sosnowice, Granica, Wołoczyska i Radziwiłłów. Tranzyty zaś miejscowych wytworów Besarabii przez Austryą na pograniczne z tą ostatnią komorą będą trwać i dalej.

— Mieszkaniec Sosnowic, p. Paweł Szukelt, stara się o eksploatacyę rudy żelaznej w miejscowości „Aleksandrów,“ zajmującej 10 morgów 227 prętów, we wsi Szarlejka, w pow. częstochowskim, gm. Grabówku. Włościanie wsi Gnaszyn, pow. częstochowski, gm. Grabówek, poczną eksploatować rudę żelazną na przestrzeni 11 morgów 295 prętów, w miejscowości „Mikoły“ we wsi Gnaszyn.

— Zjazd rolniczo-wiejski w Wiedniu uchwalił następujące wnioski: utworzenie środkowo-europejskiego związku celnego, międzynarodowe ujednostajnienie taryf kolejowych, uprawidłowienie waluty; stworzenie komisyi dia rozstrzygnięcia sprawy związku międzynarodowego (?). W skład jej wejdą z wyboru: 7 austryaków, 3 węgrów, 5 niemców i przedstawiciele Danii Francyi, Holandyi, Rumunii, Szwajcaryi i Włoch.

Życie społeczne. Przystąpiono już do drukowania blankietów, potrzebnych do zamierzonego spisu jednodniowego ludności w całem państwie. Koszty spisu obliczono na 3,200,000 rs.

— W d. 13 z. m. otwarto przy biurach pocztowo-telegraficznych kasy oszczędności w następujacych miejscowościach Królestwa: w Aleksandrowie Pogranicznym, Włocławku, Grójcu, Łowiczu, Kaliszu, Mazowiecku, Małkinie, Myszyńcu, Ostrowie, Ostrołęce, Tykocinie, Płocku, Będzinie, Granicy, Dąbrowie, Zgierzu, Łodzi, Noworadomsku, Pabjanicach, Piotrkowie, Rawie, Sosnowicach, Tomaszowie-Rawskim, Częstochowie, Łomży, Grajewie, Kolnie, Makowie, Nasielsku, Pułtusku, Ciechanowcu, Czyżewie i Szczuczynie.

— Zatwierdzona już osada rolna dla dziewcząt pod zarządem Towarzystwa osad rolnych, ma być wkrótce założoną. Znajdzie się ona o 3 wiorsty od Studzieńca i nosić ma nazwę „Puszczy.“ Na początek w osadzie tej pomieszczą się 50 dziewcząt. W miarę środków osada zostanie znacznie powiększoną.

Praca. Zmowa robotników na kolei panamskiej już ustała, Żądania ich zostały zaspokojone, ale aż dopiero po całym szeregu „bojkotowań,“ rwania drutów telegraficznych i szyn kolejowych.

— Projekt rozciągnięcia inspekcyi fabrycznej i na warsztaty rzemieślnicze zyskał uznanie u władz wyższych. Polecono w tym celu opracować stosowne przepisy, a ministeryum spraw wewnętrznych zaprosi Towarzystwo przemysłu i handlu do udzielenia swoich wniosków w tej mierze.

— W Liverpoolu, 2 września, otwarty został kongres Trade Unionów, na który stawiło się 460 delegatów, reprezentujących 1½ miliona stowarzyszonych robotników.

Zdrowie publiczne. Kongres międzynarodowy alkoholistów w Chrystianii uchwalił utworzenie międzynarodowej ligi anti-alkoholistów.

— Rada municypalna Nowego-Jorku przesłała nakaz do miejscowej policyi, żeby surowo baczyła na wykonanie nowogłoszonego prawa, wzbraniającego małoletnim palenia papierosów. Prawo to weszło w życie od 1 września r. b. i zakazuje chłopcom niżej 16 lat palenia na ulicach i miejscach publicznych. Bardzo roztropne prawo, bo nie idzie dalej, nie czując się na siłach.

Cholera. W Mekce wygasła, za to w Japonii wybuchła i szerzy się groźnie, Codziennie umiera 100 osób. W Nangesaki w przeciągu 20 dni zdarzyło się 926 zasłabnięć, z których 671 zakończyło się śmiercią. Wszystkie miasta japońskie od Satsumy do Hakodate nawiedziła ta plaga. W Hiszpanii również nie przestaje grasować i wzmaga się nawet. Z Madrytu donoszono pod d. 7 września o 115 zasłabnięciach, zakończonych 60 wypadkami śmierci. Od chwili pojawienia się jej w tym kraju, ogółem było 2,314 wypadków zasłabnięcia i 1,167 śmierci. Obecnie panuje ona mniej więcej w prowincyach Badajoz, Alicante, Castillon, Taragonie, Walencyi, Kartaginie i Toledo.

Bibliografia. M. Rodziewiczówna, *Błękitni*, powieść, str. 372, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— A. Mańkowski, *Hrabia August*, notatki i wrażenia, str. 251, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— Dr. J. Polak, *Podręcznik leczniczy*, str. 191, Warszawa, Gebetgner i Wolff.

— E. Bogusławski, *Moja historya Polski* i jej krytycy, str. 34, Kraków.

— N. Sokołow, *Zadania inteligencyi żydowskiej*, str. 110, Warszawa.

— S. K. Plebański, *Olbrychta Karmanowskiego wiersze różne*, ssr. 60, Warszawa.

— M-lle F. Mendelsohn, *Contribution à l'emploi de l'idiode en obstétrique*, str. 104, Paryż. Jest to rozprawa doktorska autorki.

Zmarli. Chatrian, powieściopisarz, bardziej znany w spółce literackiej: „Erckman i Chatrian,“ niż pojedyńczo. Urodził się w Soldatenthalu w Alzacyi, r. 1826.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani Ju. Bezr., Jednemu z czytelników. Tak serdecznie dziękuję za życzliwość, jak wdzięczny za nią jestem. A. S.

Czytelnikowi C. Tak.

Z. B. Treść tego obrazka nie dla nas.

Panu Cz. U. w. Kr. W obrazku Waszym za dużo jest niejasności.

OGŁOSZENIA.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 31 Августа 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.